ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 11. 16. III. 1935



w numerze:

Franciszka Gaal święci tryumfy w kinie „Apollo"

NIS PETERSEN

SPOTKANIE NA ULICY

Zamieszczamy poniżej fragment z głośnej w świecie powieści Nisa Petersena „Ulica Sandalników". Ta wielka powieść historyczna, osnuta na tle panowania Marka Aureljusza, zwróciła uwagę na nieznanego autora duńskiego i została przełożona w ciągu roku na kilkanaście języków. Przekład polski dokonany przez Zbigniewa Grabowskiego pojawi się niebawem.

Jonek przebiegał już ulice innych miast zarówno na północy, jak południu Italji i wiele z nich wydawało mu się mrocznemi kanałami, na których dnie kłębiła się masa ludzka. Żadne jednak z tych miast nie umywało się do Rzymu, gdzie wir życia rwał zawrotnie. Z tego to powodu z pewną trudnością utrzymywał swoje normalne tempo. Kiedy chłopak gonił przez ulice, mając w mózgu jeden cel i plan, to zawsze kojarzył praktyczne względy wędrówki z jakiemiś interesującemi próbami i wybiegami. Tak i teraz po drodze do świątyni Pokoju zaprodukował się w nowej roli, a mianowicie — wywiadowcy legjonu. Trzymając kolczasty kij w łapie na podobieństwo włóczni, przemykał się raz boczkiem, to znowu pomiędzy nogami przechodniów. Raz poraz zatrzymywał się, ażeby, jak przemykający się szpieg, zbadać, co oznaczają dane podejrzane dźwięki. Potem upewniwszy się, co to znaczy, parł dalej przez ruchliwy las nóg, gdy oto nagle — stało się to w sąsiedztwie posągu Janusa o czterech twarzach na rynku Nervy — przyszło mu do głowy, że należałoby zasięgnąć języka co do dalszej drogi. Spojrzawszy do góry, pochwycił oczyma najdziwniejszą istotę, jaką oglądał w swojem krótkiem istnieniu. Istota ta była naszym dobrym znajomym — Egriliusem.

Powiedzieliśmy już, opisując sprzedawcę gorących kiełbasek Egriliusa z okazji Święta Saturnaljów, odprawionego w domu na Alta Semita, że nie posiadał on wzorem innych ludzi jakiegoś stałego, określonego kształtu. Przybierał dowolnie rozmaite postaci. Tego oto letniego dnia— prawdopodobnie pod wpływem gorąca— przybrał kształt spiralny. Stał opierając się na skrzynce z kiełbaskami, tak, że górna część jego wypukłości, a więc głowa kołysała się nieco w tyle, podczas, gdy najniższa a więc nogi zwrócone były ku frontowi skrzyni. Koło niej sterczał niewolnik, który przysiadł sobie na drągu do niesienia skrzyni. Egrilius zajęty był dłubaniem w zębach przy pomocy igły, lewą zaś ręką liczył pieniądze, a równocześnie uważnym wzrokiem śledził jakąś osobę w habicie mnicha, która zdążała skosem przez rynek ku domowi bankowemu Vesoniusa Sorexa. Niewolnik siedział drzemiąc albo tylko udawał, że drzemie. Mózg Jonka przejął momentalnie te wszystkie szczegóły obrazu i przetelegrafował je do swojego żołądka z opłaconą odpowiedzią.

— „Pusty" — zadepeszował w odpowiedzi żołądek.

— Doskonale, — odrzucił mózg i cała rzecz zajęła mniej czasu, aniżeli gołębiowi chwycenie w dziób kamyczka.

To, że atak nie powiódł się, było wynikiem czystego zbiegu wypadków. Kiełbaski, pięknie ułożone na pokrywce, były za gorące, a ponadto nie dały się rozdzielić i ciągnęły się jedna za drugą. Jonek był za mały, a niewolnik bynajmniej nie spał, ale przeciwnie — czuwał. To, co potem się stało, stanowiło jeden z najboleśniejszych epizodów w życiu Jonka. Była to poniżająca i męcząca ceremonja, która zaczęła się od przewrócenia na kolano jego osoby i przyłożenia tam gdzie należy rzemienia, do czego dołączyło się kilka uderzeń sandałem. Nie miał zdecydowanego sądu, co się właściwie dzieje, gdyż nauczony instynktem i doświadczeniem leżał zwinięty jak ślimak z głową schowaną w ramionach. Słyszał tylko przewalającą się nad nim burzę przekleństw i wyłowił odrazu dwa lub trzy przekleństwa całkowicie nieznane jego uszom. Właśnie doszedł do wniosku, że teraz rzucą nim jak śmieciem do rynsztoka na ulicy, kiedy nagle cała rozprawa została niespodziewanie przerwana.

Niespodzianie zapadła cisza, wydarzył się cud — i z tego oto milczenia wybił się głos jasny, jak dzwonek. Głos ten rzucił tylko:

— Ależ, Egriliusu!

— Królowo łaskawa! — sapnął głos, który — jak zupełnie słusznie osądził to Jonek — należał do człowieka o kształcie elipsy.

— Ależ ty klniesz przyjacielu, klniesz, aż uszy puchną... wprost strasznie! — ciągnął dalej dzwoneczek.

— Łaskawa królowo! — doszło drżąco od spiralnie wygiętego jegomościa.

— A przytem znęcasz się nad taką okruszyną! — Teraz już dzwoneczek oskarżał groźnie, nieubłaganie.

— Ależ on kradł moje kiełbaski —tłomaczył się i skamlał oskarżony bez zbytniego jednak przekonania. W tym momencie Jonek zebrał się na odwagę, ażeby rozejrzeć się wokoło siebie i pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, była pewna nader

(dokończenie na str. 23)

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXX. Nr. 11 16.III.1935

HIPOLIT GLIWIC

Złote pokrycie czy złoty kaganiec?

Wybitny ekonomista p. min. Gliwic, nadsyła nam artykuł, w którym niezwykle żywo omawia skomplikowane zagadnienie „złotego pokrycia".

Wiele się mówi i pisze ostatnio o wielkich robotach publicznych. Najpoważniejsi przeciwnicy tego projektu jako najcięższą kolubrynę, która ma cały projekt rozwalić, skwapliwie wysuwają straszaka inflacji ,twierdząc, że uskutecznienie tych poczynań grozi zachwianiem się złotego. Perspektywa byłaby rzeczywiście fatalną, a przyszłość pożałowania godną, gdyby rozumowania tego rodzaju nie opierały się wręcz na nieporozumieniu, najlepszą ilustracją którego może służyć następująca dykteryjka, przypisywana obecnemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

Do hoteliku małego miasta prowincjonalnego zjeżdża komiwojażer. Komiwojażer — jak to komiwojażer — hałaśliwie się wita ze szwajcarem hotelowym, klepie go protekcjonalnie po ramieniu i jowialnie prosi schować do kasy hotelowej 100-dolarowy banknot. Wnet sam na miasto pośpiesznie wychodzi.

Dwunasta godzina. Szwajcar ustępuje miejsca koledze. Po pewnym czasie do hoteliku wpada inkasent fabryki mebli, której nasz hotelik pozostał winien 100 dolarów. W kasie jest 100 dolarów. Rachunek zostaje uregulowany. Fabrykant mebli zaciera z zadowoleniem ręce, bo właśnie ma płacić 100 dolarów składnikowi desek. Ostatni otrzymuje owe 100 dolarów i przypomina sobie, że za urządzony w hoteliku bankiet miejscowej asocjacji drzewnej został winien 100 dolarów. Posyła je natychmiast do hotelu.

Szósta godzina. Zmiana personelu dyżurującego. Pierwszy szwajcar wraca na swoje miejsce. Za chwilę wpada nasz komiwojażer. Prosi o zwrot 100 dolarów. Szwajcar je zwraca. Z dezynwolturą, tylko komiwojażerom właściwą, nasz przyjaciel chwyta papierek, skręca go, przybliża do świecy i zapala nim swe cygaro. Zdumionemu szwajcarowi oświadcza z brawurą, że banknot był fałszywy.

Pouczające opowiadanie. Dobitnie i wyraziście mówi nam ono o roli pieniądza. Cudzy, fałszywy przytem papierek stu dolarowy wykonał zupełnie prawidłowo krąg funkcyj autentycznego banknotu. Właściwie był on zupełnie niepotrzebny, bo trzy tranzakcje stanowiły zamknięty w sobie cykl. Możność okazania usług hotelowych została wymieniona na meble, meble na drzewo, drzewo na usługi hotelowe. Cykl się sam w sobie zamknął. Banknot okazał się tylko kwitkiem, zupełnie niezależnym od tej czy innej nadanej mu pieniężnej wartości.

W wielkich robotach publicznych, jeżeli tylko będą one celowo zaprojektowane, odpowiednio zorganizowanę i dobrze prowadzone— zupełnie tak samo, jak i w przytoczonych anegdotycznych tranzakcjach — cykl obrotu powinien się sam w sobie zamknąć wewnątrz kraju, a wtedy całe przedsięwzię-

cie nie może w niczem naruszyć ani naszego systemu pieniężnego, ani tego „tabu", jakiem dla wielu jest dotąd pokrycie złote. Myśleć inaczej może tylko człowiek mający słabe pojęcie o właściwej roli pieniądza, tak plastycznie i dosadnie przez Roosevelta przedstawionej. Myśleć inaczej znaczy przyjmować środek za cel, formę za treść, dla pustego fantomu wyrzekać się realnych korzyści i, co gorsza jeszcze, dla płytko pojętej teorji zapominać o konkretnych koniecznościach życiowych.

Ustalmy dwa pewniki.

Aczkolwiek wśród ekonomistów, którzy się sceptycznie na rolę złota zapatrują, są uczeni o rozgłosie światowym i praktycy bardzo wybitni, jednakże liczba tych, coby się zupełnie od złota, jako podstawy pokrycia monetarnego, odżegnywali, jest znikoma dla bardzo prostej przyczyny, że dogodniejszego podkładu dotąd nikt nie wskazał.

Jest to pierwszy pewnik.

Z drugiej strony ci, co mniemają, że mniej lub więcej zręcznemi manipulacjami w dziedzinie pieniężnej można poprawić lub, jak obecnie przyjęto mówić, nakręcić konjunkturę, nie zasługują na miano ekonomistów, poglądy takie bowiem w swej prymitywności do złudzenia przypominałyby takie np. twierdzenie, że przesunięcie wskazówki zegara o 6 godzin może uczynić z dnia noc lub odwrotnie. Zegar jest przyjętym powszechnie miernikiem czasu, niczem więcej, i podkład pieniężny — złoto—był dotąd powszechnie przyjętym miernikiem wartości i niczem więcej. Nikt nie może zaprzeczyć, że funkcje te są niesłychanie doniosłe i ważne, ale nadewszystko nie wolno zapominać, iż złoto, jak i cały system pieniężny, jest koniec końców nie celem, jeno środkiem.

Tak pojęta rola złota jest to drugi pewnik.

Te dwa pewniki stanowią jakby słupy graniczne. Na jednym widnieje napis *„inflacja"*, a za nim się teren klęski i nieszczęścia roztacza. Na drugim dostrzedz można signum *„deflacja"*, i znaczy on sobą krainę nędzy.

W obrębie jednak tych dwuch słupów możemy i powinniśmy się zupełnie swobodnie obracać i wszystko, co w tych granicach się czyni, nie powinno uchodzić za żadne nakręcanie konjunktury.

Jednego tylko środka zalecać niepodobna—zrezygnowanego bezczynu. Coby powiedziano o kapitanie statku płynącego z Gdyni do New Yorku, gdyby spuścił się na mechanizm swego precyzyjnego chronometru i, nie licząc się z okolicznościami, wskazówek nie przestawiał? Przyjechałby do New Yorku w południe z zegarem, pokazującym godzinę wieczorną. Na pochwałę także zasługują takie zarządzenia zachodnio - europejskie, na mocy których zegary latem o godzinę naprzód się posuwa i w ten sposób wydatki na światło oszczędza.

Trzymajmy się naszego miernika złotego, ale nie przesadzajmy w swej ortodoksyjnej gorliwości, a nadewszystko nie zapominajmy, jak dalekim od doskonałości jest ten miernik. Dowiedziono przecież, że wzrost wydobycia żółtego metalu jest wolniejszy od wzrostu produkcji wszystkich podstawowych surowców, a tembardziej od tempa i zakresu wszystkich operacyj handlowych. Stosunek ilości rozporządzalnego złota do ogólnego zasięgu wszystkich mierzonych niem tranzakcyj z natury rzeczy maleje i z czasem logicznie staje przed nami pytanie, dlaczego wysokość norm pokrycia złotego jest wielkością sztywną, co przecież może i musi krępować wszelkie tranzakcje. Najbardziej zaciekły obrońca idei monetarnego pokrycia złotego nie może zaprzeczyć temu. Kaganiec jest bardzo pożytecznym aparatem, gdy nie pozwala psu kąsać, ale mija się ze swoim celem, gdy nie daje mu szczekać, a staje się wręcz szkodliwym, gdy dusi wiernego, pilnującego domostwa naszego, stróża. Norma pokrycia złota powinna nas chronić od wszelkich wyskoków i nadużyć w aparacie emisji banknotów, ale nikt nie był w stanie nikomu nigdy wytłomaczyć, dlaczego owa norma musi być aż tak wysoka, jak to ma miejsce obecnie, i dlaczego kaganiec nie może być rozluźniony, nawet wobec takiej życiowej konieczności, jak wielkie roboty publiczne, zwłaszcza obecnie, kiedy sprawa pokrycia złotego, której jesteśmy i pozostajemy bezwzględnymi zwolennikami, doznała bardzo poważnego załamania.



Głównym dogmatem tej zasady jest i musi być jej uniwersalność. Gdy to nie ma miejsca, zachodzą ciekawe a paradoksalne zjawiska. Kraje bloku złotego winny w swej działalności pilnie baczyć, by złoto nie dostało się w nieodpowiednie ręce, t.j. w ręce krajów, które się go wyrzekają. Uniknąć zaś tego można jedynie drogą surowego przestrzegania bilateralizmu, t. j. zasad pierwotnego handlu wymiennego, oddając swoje produkty nie za złoto, lecz za produkty państwa drugiego, i nabywając obce artykuły nie za złoto, ale za swoje wyroby. Zwęża to i krępuje obroty handlowe niesłychanie.

W ciągu ostatnich pięciu lat, t.j. od czasu kryzysu 1929 r. do końca 1933 roku, w Szwajcarji handel trójkątny, t.j. handel normalny (towar nabywa się za złoto i złoto zbywa się za towar) spadł z 12% do 1.7%; we Francji — z 25% do 6%; w Holandji z 11% do 5%. Drugiemi słowy, stwarza się — powtarzam — takie paradoksalne zjawisko, że w krajach najsuciej w złoto zaopatrzonych, jak we Francji (faktyczne pokrycie złote stanowi tu 98.5%), w Holandji (pokrycie — 95.7%) i Szwajcarji (pokrycie 139.6%) żółty metal nie spełnia swojej najważniejszej funkcji, bo handel zewnętrzny odbywa się i tam według zasad pierwotnej towarowej wymiany.

Najlepszy kierowca, prowadzący najwspanialszą limuzynę Rolls-Royce, przestaje być pożytecznym i potrzebnym na drodze, na której kursują staroświeckie karoce, w strachliwe konie zaprzężone.

W świecie omotanym drutem kolczastym zakazów i najróżniejszych ograniczeń dewizowych złoto niestety swych funkcyj nie może prawidłowo wykonywać. W atmosferze niewypłacalności ogólnej ortodoksja monetarna przestaje popłacać nawet w stosunkach zewnętrznych, acz tu uniwersalne uznanie ogólnego miernika wartości jest rzeczywistą koniecznością. Zupełnie zaś staje się niezrozumiałą ta sama ortodoksja w zastosowaniu, jak w wypadku wielkich robót publicznych, do stosunków ściśle wewnętrznych, gdzie się bez niej obejść można, a w czasach obecnych, kto wie, czy nawet nie trzeba.

OSTATNI UŚMIECH ZIMY



Fot. Olbrychski



Najmłodsi śmigali na nartach „jak starzy". Fot. Braun

Niespodziewany powrót zimy stał się radością tych, co z gór nie zdążyli jeszcze wyjechać, tych, co zostali lub wybrali się do Zakopanego na zakończenie karnawału. „Śmigano" więc na nartach, „święcąc zimę" i ostatnie śniegi. Z brzękiem i śmiechem mknęły sanie, a ukwiecone konie rwały z kopyta. Hucznie i z ochotą tańczono na góralskiem weselu.

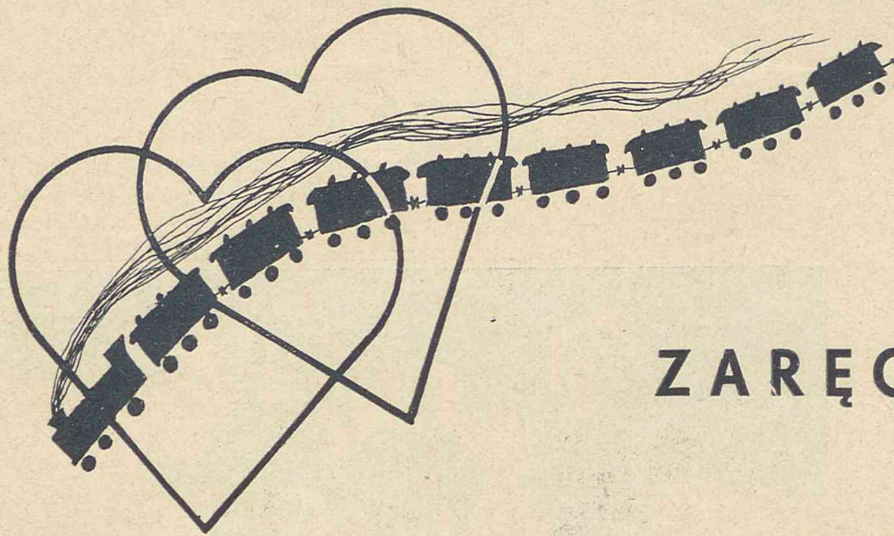
Tańczono na udeptanym śniegu do upadłego.



Koniom góralskim przypinano „strojne" kwiaty. Fot. Ryś



ELGA KERN.



PODRÓŻ ZARĘCZYNOWA

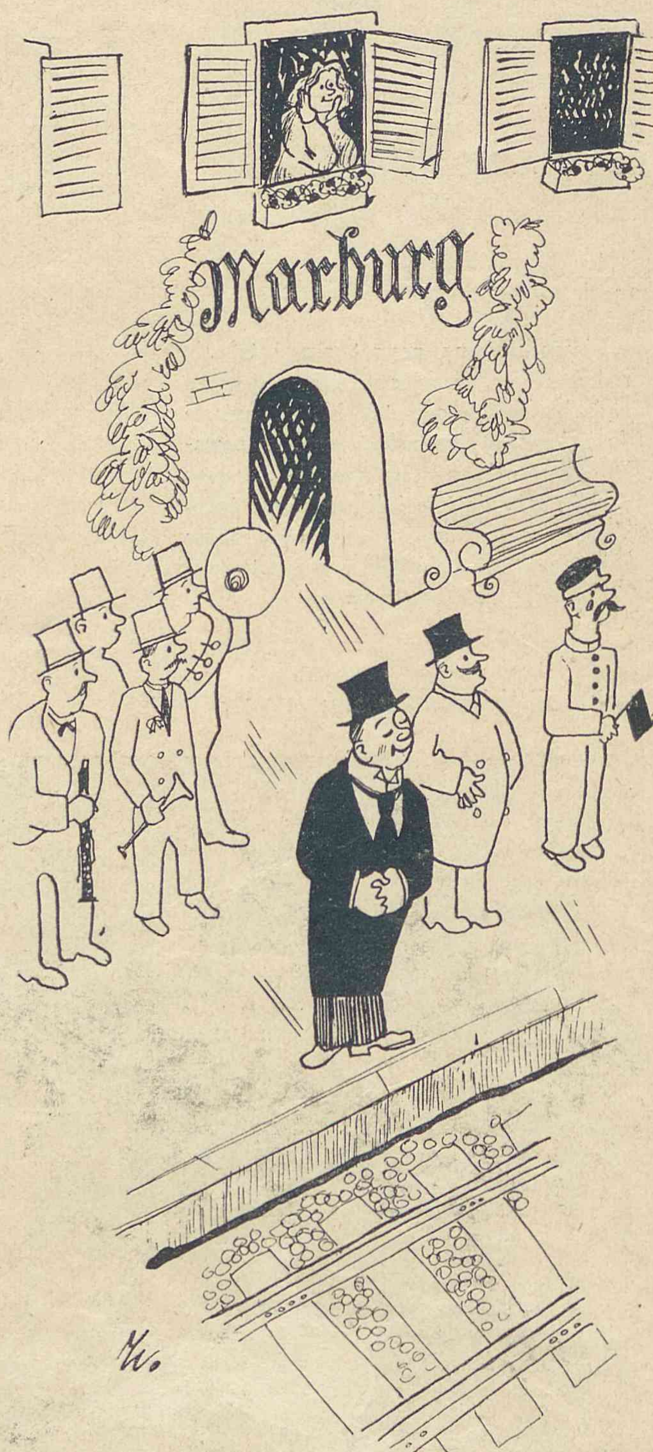
W dzień wigilijny siedemset osób — mężczyzn i kobiet, ściślej mówiąc kawalerów i panien, wyruszyło z dworca berlińskiego w kierunku Marburga. A cel tej wycieczki był nie bylejaki: chodziło bowiem o to, ażeby „on" spotkał wreszcie i odszukał „ją", a ona „jego".

Sprawa wzajemnego odnalezienia się, przy bliższem rozpatrzeniu, nabiera wielkiej wagi w życiu ludzkiem, źle bowiem dzieje się samotnemu człowiekowi na świecie. Dlaczego jednak ci niezwykli pątnicy podążali właśnie do Marburga?

Marburg jest niewątpliwie pełnem uroku starożytnem miastem, w którego cichych uliczkach i malowniczych zakątkach żyje niejedna tradycja miłosna. Z tej racji jest pełne uwodzicielskiego wdzięku, co dla ludzi skłonnych do zakochania się nie może pozostać obojętne. Z drugiej strony jednak nie ulega również wątpliwości, że niebo wszędzie jednako sprzyja zakochanym parom. Możeby więc obeszło się bez tej miłosnej trasy Berlin — Marburg? I w jakiż to sposób doszło do tej przemiłej podróży, że się tak wyrażę, moralnie - niemoralnej i zbędnie - koniecznej?

Państwo stało się teraz tak w Niemczech, jak zresztą we wszystkich innych krajach, opatrznością człowieka. Przykład, jak wiadomo, idzie z góry. Dlaczego więc ojcowie miasta Marburga, w połączeniu z berlińską organizacją „Siła w radości", nie mieliby odegrać przy sposobności roli Opatrzności?

Projekt powstał jeszcze w lecie, w czasie bytności wycieczki z Berlina. Zarząd miasta Marburga, dążąc do wskrzeszenia starych tradycyj i co za tem idzie, do ożywienia ruchu przyjezdnych, powziął pewną myśl. Otóż każda parka, która



znalazłszy się na terenie miasta, wyrazi chęć połączenia się dozgonnym węzłem małżeńskim i zaręczy się, będzie miała prawo do dwutygodniowej podróży poślubnej. Wprawdzie światłą głowę miasta nawiedziło przeczucie, nie wróżące nic dobrego: w zaniepokojonej wyobraźni widział już całe karawany podążające do miasta, by na jego koszt brać ślub i rozkoszować się przyobiecaną podróżą, ale było już zapóźno na zmianę decyzji. Pogłoski o niezwykłej hojności starożytnego grodu rozeszły się szeroko i tak uporczywie, że już coś na tem tle musiało się stać. To było nieuniknione.

Pierwsza odezwała się berlińska organizacja „Siła w radości" i gotowa zawsze przyjść bliźnim z pomocą, z całą stanowczością zażądała dziesięciodniowej podróży świątecznej do Marburga. Jednocześnie ogłosiła, że na koszta przejazdu i utrzymania należy wpłacić 40 marek.

Zaproszenia nie trzeba było dwa razy powtarzać. Siedemset osób płci obojga a stanu wolnego, w wieku od lat osiemnastu do pięćdziesięciu, wsiadło w dzień wigilijny do pociągu „małżeńskiego", wnosząc ze sobą nastrój gotowości miłosnej, wyczekiwania i wdzięk lekkomyślnej młodości.

Czyż nie doskonała okazja do przekonania tych, co jeszcze wątpią, że młodzież bynajmniej nie uchyla się od obowiązków i ciężarów, jakie na nią nakłada życie, małżeństwo i ewentualne potomstwo? Należy tylko podać im dłoń pomocną na tej drodze i stworzyć odpowiednią sposobność. Siedemset, wyraźnie siedemset osób, mężczyzn i kobiet siedziało stłoczonych w pociągu przeznaczenia, co pełną parą z Berlina do Marburga dążył...

Całonocna podróż w przepełnionej trzeciej klasie pociągu, na twardych drewnianych ławkach, nie należy bynajmniej do wymyślnych rozkoszy życia. Najgorsze przyzwyczajenia towarzyszy podróży, brzydkie nawyki wychodzą zazwyczaj przy tej sposobności na jaw. Niestety — w ciągu tych długich godzin można poznać bliźniego swego z najprzykrzejszej jego strony.

W tym wypadku było jednak zupełnie inaczej. Każdy starał się pokazać z jaknajlepszej strony: żadnych nieprzyjaznych nastawień, żadnych złych manjer. Nikt nie chrapał, nikt nie pluł ani przeklinał. Nie było zrzędów, ani kwaśnych humorów. Przeciwnie — nastrój stawał się coraz serdeczniejszy, ogólnie przyjacielski. Sprawy szybko przybierały właściwy obrót. Więcej przedsiębiorczy z pośród panów w krótkim stosunkowo już czasie zaczęli okazywać poważne zamiary względem swych sąsiadek, co znowu usposobiło panienki, które miały przy boku nieco mniej śmiałych towarzyszy podróży, do okazywania im tem większego zaufania. Kwitła wymiana myśli, już sobie powierzono wzajemne wymagania życiowe, zdążono nawet poruszyć zagadnienia duchowe i na niejedno pytanie z tej dziedziny dać interesującą odpowiedź.

Gdy pociąg minął Kassel, bieg spraw zdążył się już zupełnie widocznie sprecyzować: kto... kogo... jak... Niejedno ramię męskie mocno i pewnie otaczało wiotką kibić towarzyszki, niejedna znużona główka kobieca spoczęła ufnie na szerokiej piersi opiekuna. Zdawało się nie ulegać wątpliwości, że ci, co byli dla siebie przeznaczeni, zdołali się już w tej drodze odnaleźć. W ten sposób, choć nie bez pewnego zmęczenia, ale w jaknajlepszym nastroju, zajechano do Marburga.

Na stacji oczekiwał miłych kochanych gości z Berlina pan burmistrz we własnej osobie. Ale na widok siedmiuset osób, bardzo już ze sobą zgranych i w jaknajwiększym porządku parami pociąg opuszczających, dostał prawdziwego olśnienia. Mało brakowało, żeby nie padł, rażony apopleksją.

Ale marburczycy wywiązali się z zadania bez zarzutu. Gości z Berlina poumieszczano w najlepszych hotelach, przydzielono im najwygodniejsze kwatery. Dzień został wypełniony po brzegi: zwiedzanie miasta, wycieczki, co wieczór wspaniałe przyjęcia, w których i miejscowi kawalerowie brali udział. Oni to właśnie popsuli szyki kandydatom do stanu małżeńskiego z Berlina.

Tak się zdarzyło, że panny potraciły głowy. Rozważając zalety i wady, tak natury zewnętrznej, jak i duchowej młodzieńców przyjezdnych i miejscowych, straciły orjentację, w którą stronę ciągnie właściwie ich serce. W ich główkach i uczuciach powstał nieopisany zamęt, wypadek zupełnie psychologicznie zrozumiały, który został wyzyskany przez Marburczyków na ich dobro.

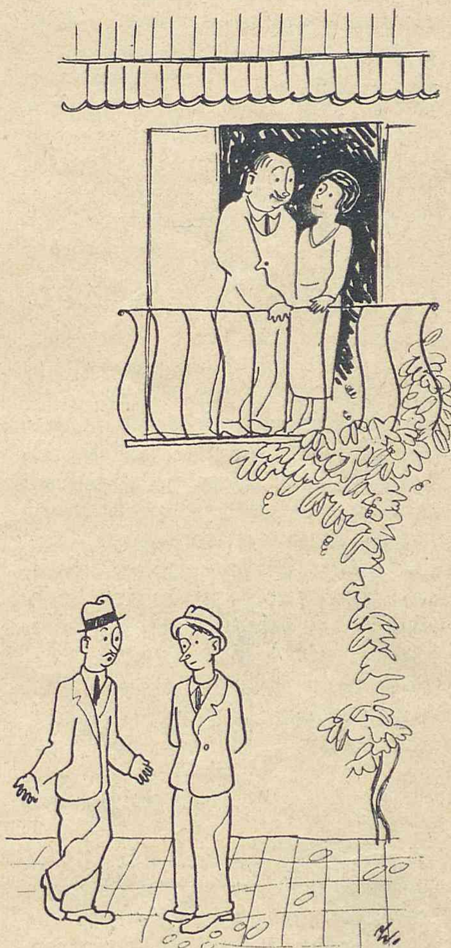
I nagle ktoś podsunął myśl, która stała się zbawczą deską ratunku dla pogrążonych w rozterce dziewic, że dziesięć dni, to stanowczo za mało, by powziąć decyzję i zadzierzgnąć węzeł na całe życie. Przyciśnięte do muru, z rzadko spotykaną jednomyślnością odparły ataki niecierpliwych kawalerów z Berlina.

Jednakże dobry nastrój pozostał, pomimo wszystko, do końca. Teraz cieszono się życiem bez specjalnej przyczyny. Ale do barwnych, uporządkowanych szeregów, które tak zgodnie opuściły pociąg, wkradł się nieporządek wprost nie do wiary.

Prawdziwą niespodziankę przyniosła dopiero roztańczona i rozbawiona noc Sylwestrowa. Dwoje tylko z przybyłych z Berlina zdecydowało się na zadzierzgnięcie węzła małżeńskiego. Z siedmiuset osób tylko jedna jedyna para zaręczyła się.

Z tego wynika, że niemieckie dziewczęta nie są jednak tak bezkrytycznie skore do małżeństwa. Oczywiście późniejsze następstwa tej dziwnej podróży nie dadzą się jeszcze dzisiaj przewidzieć...

Przełożyła *Halina Nowaczyńska.*







...Lloyd George grzmi na wiecach...

AXEL.

Godzina Lloyd George'a

Znacie Lloyd George'a?

To ten sam, co wyrażał uczucia ubolewania „swemu drogiemu przyjacielowi generałowi Charkow'owi" po porażce doznanej od bolszewików. To ten sam, co Cylicję i Śląsk (Silesię) przenosi łatwiej z miejsca na miejsce, niż legendarny porywacz Europy.

Lloyd George—to premjer zwycięstwa Anglji w czasie wojny. Lloyd George to główny mistrz ceremonjału sabotującego traktat pokojowy! Z równą łatwością i omyłkami mówił onogenerale...Charkowie, jak i o mapie Śląska, jak stawał się obrońcą tezy konieczności zaufania Niemcom. Powalony lat temu więcej niż dziesiątek przez zwycięstwo konserwatystów, Lloyd George — żuł swą klęskę i w artykułach często gęsto o niemieckiej lojalności a o podstępności wszystkich innych wspominał. Odsunięty od władzy, pozbawiony dawniej silnego stronnictwa, ten tryskający jowialną werwą, zakonserwowany jak rumiane jabłko w choinkowym śniegu starzec polemizował, pisał, przemawiał.

Polemista świetny, mówca błyskotliwy, często nie przebierający w demagogji, trwał na swej pozycji.

Dziś mówią, że jego godzina nadeszła.

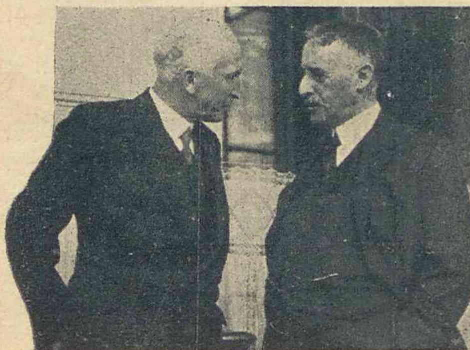
Rzucił na zebraniach wielki plan wyprowadzenia Anglji z kryzysu. Plan dość płynny, ale podany donośnie i który musiał znaleść rezonans wmasach bezrobotnych. Oczywiście na pierwszem miejscu znalazł się wielki projekt robót publicznych.

Nie będziemy omawiali tych szerokich projektów angielskiego expremjera. Ciekawsze są przyczyny, jeśli nie wybicia jego godziny, to wydzwonienia przez zegary angielskie imienia Lloyd George'a ze specjalną intensywnością.

Zarysowały się możliwości przyśpieszenia wyborów. Socjaliści angielscy w wyborach uzupełniających zaczęli odnosić zwycięstwa. Konserwatyści są tak długo u władzy, iż wyborca angielski zmęczony kryzysem może zapragnąć zmiany ramienia walczącego z tym koszmarem. A przytem zarysowała się silnie odrębna grupa konserwatystów— jest ona niemal czwartem stronnictwem. Zagadnienie Indyj i bezrobocia różni ją zasadniczo z partją oficjalną — ostatnie wybory w okręgu Wavertree, wktórych syn Churchilla wystąpił przeciw oficjalnemu kandydatowi stronnictwa, dzięki czemu zwyciężył laburzysta — odsłoniły ten rozdźwięk dobitnie.

Krytyka przeciw Mac Donaldowi rośnie. Wydaje się, że jego słońce ...skąpie się w oceanie Indyjskim. Konserwatyści nie pragną rządzić pod swym własnym sztandarem. Ich hasłem jest rząd narodowy. Rozmowy poufne z Lloyd George'm już rozpoczęto. Ten świetny mówca, znakomity znawca mas, kuglarz wielkich zgromadzeń — mógłby nietylko zastąpić Mac Donalda w rządzie — ale stałby się niezbędnem lewem skrzydłem przy wspólnej akcji wyborczej. A nie należy wątpić, że wracający „premjer zwycięstwa" walczyłby o zwycięstwo wyborcze z większą pasją, niż schorzały, zdepopularyzowany Mac Donald. Ale Lloyd George nie lubi skakać w ciemnię. Lloyd George się namyśla. Zbyt długo czekał na powrót do władzy, aby teraz chybić.

Dlatego to opinja publiczna przez dłuższy czas zastanawiała się, czy Lloyd George do przyszłych wyborów szykuje się jako współpasażer wyborczego tanku laburzystów, czy też chciałby zasiąść na koźle wytwornej karocy



...min. Simon pertraktuje...

konserwatystów. Sytuacja wytworzyła się bowiem taka, że o powodzeniu większem swej frakcji liberałów Lloyd George nie może marzyć. Nie może marzyć, aby stać się języczkiem u wagi między laburzystami i konserwatystami. To, co teraz głosi „buńczuczny walijczyk" jako swój program, ułatwiałoby tylko akcję wyborczą lewicy. Kampanja ideowa Lloyd George'a — to woda na młyn laburzystów. Oni potrafiliby zdyskontować jego hasła i zamienić je na swoje kartki wyborcze. Wytrawny demagog czuje to. Wie, że aby odzyskać



...Chamberlain celebruje małżeństwa w rodzinie..

posłuch, uznanie, aby się z nim liczono, musi głosić program radykalny. Program zresztą bliski mu całe życie.

Zwycięstwo laburzystów mogłoby mu dać udział w rządzie. Kollaboracja z konserwatystami da mu tekę premjera. I to znacznie prędzej. Trudno. Los tak kieruje usposobieniem ludzi, że gdy mają więcej niż 70 lat, to wybierają raczej prędszy niż późniejszy powrót do upragnionej władzy. Dlatego to ci, co liczą, że Lloyd George „nie chybi", sądzą, że poufne rozmowy z rządem i konserwatystami dadzą prędsze rezultaty, niż wiece wyborcze. Wówczas gdy reprezentant innego odłamu liberałów sir Simon podróżuje, pertraktuje; gdy przeciwnik jego polityki zagranicznej lord Chamberlain celebruje małżeństwa w swej rodzinie — Lloyd George działa, pracuje, grzmi na wiecach, konferuje z rządem — jednem słowem walczy.

REFLEKSJE...

Z ostatnich pięciu dni...

(jj) — Grecja w ogniu rewolucji. Cała niemal flota w rękach powstańców. Zajęli Kretę, wyspy Chios, Lesbos, Samos. 30-tysięczna armja powstańców przygotowuje ofensywę na Saloniki. Bitwa nad Strumą rozpoczęta.

— Depesza z Sofji: Rada ministrów obraduje w permanencji. Gabinet przedsięwziął środki celem utrzymania dyscypliny w szeregach korpusu oficerskiego. Pewna grupa oficerów pod przewództwem płk. Daniana Wałczewa występuje przeciw dynastji.

— Wiadomość z Madrytu: Dziś popołudniu (dn. 8 b. m.) we wszystkich niemal pociągach pośpiesznych na linjach z Madrytu do Sewilli, Grenady, Alicante i Saragossy wybuchły pożary. Był to akt zorganizowanego sabotażu. Część pociągów stanęła w drodze, inne dojechały do najbliższych stacyj.

— Z Hawany donoszą: Wybuchł tu strajk urzędników państwowych. Na ulicach — strzelanina. Uniwersytet i wszystkie gmachy publiczne zajęło wojsko i policja. Do rozgłośni w Hawanie wtargnęło 8 rewolucjonistów uzbrojonych w karabin maszynowy i zniszczyło stację nadawczą.

—Naczelny dowódca wojsk włoskich w Afryce, gen. Graziani, wylądował już w Mogadiscio z pierwszemi oddziałami dywizji „Peloritana". Z Genui wypłynęły oddziały, mające wzmocnić włoskie siły lotnicze w Somali. Liczba ochotników, zapisujących się do oddziałów milicji faszystowskiej, wysyłanych do Afryki, dochodzi do 70.000.

— Depesza z Paryża: Na posiedzeniu senackiej komisji spraw zagranicznych wysłuchano referatu sen. Saint'a o groźnej sytuacji w Syrji, Tunisie, Algierze i Marroku. Senator Saint uważa położenie tych krajów za niebezpieczne, zwłaszcza ze względu na potężniejący ruch panislamistyczny, który rozciąga się od Azji Mniejszej aż po Atlantyk, a nawet sięga Pacyfiku. Na temże posiedzeniu komisji zastanawiano się nad sprawą wzmocnienia sił wojskowych w kolonjach francuskich.

I jeszcze wiadomość — rzewna, liryczna, wzruszająca: „Komitet Naczelny Międzynarodowego Biura Pokoju wysłał do Tsaldarisa i Venizelosa depeszę treści następującej: „Nie mieszając się w wewnętrzne sprawy Grecji, zwracamy się do przywódców obu stron, by zaniechali rozstrzygania sporu za pomocą siły, oraz by przywrócili spokój i porozumienie".

Przyłączamy się do serdecznego życzenia tego Komitetu i prosimy również Bułgarję, Hiszpanję, Hawanę, Włochy, Abisynję, Francję, kolonje francuskie — o spokój i życzliwość powszechną....

Nowa sala gimnastyczna polskiej YMCA.

W gmachu polskiej YMCI przy ul. Konopnickiej 6 odbyło się uroczyste otwarcie nowej sali gimnastycznej i gier sportowych. Pożyteczna ta placówka powstała dzięki poparciu dwóch instytucji: zawsze popierającej tężyznę fizyczną i moralną P. K. O. oraz P. U. W. F. Pierwsza z nich dostarczyła funduszów, druga sprzętu i urządzeń sportowych. Nowa sala, o imponującej powierzchni, wyposażona bogato w przyrządy gimnastyczne, pozwoli 500 osobom na uprawianie kultury fizycznej.

Uroczystość, która zgromadziła licznych przedstawicieli czynników interesujących się zagadnieniami sportu, oraz tłumy młodzieży, rozpoczęło przemówienie prezesa YMCI inż. Marjana Ponikowskiego, który w słowach radosnych i prostych złożył przedewszystkiem serdeczne podziękowanie komitetowi technicznemu z prez. dr. Henrykiem Gruberem, b. ministrem inż. Alfonsem Kühnem, prez. Sewerynem Ludkiewiczem i prez. A. Wieniawskim na czele, zaznaczając, że nową salę zawdzięczamy trosce prez. H. Grubera o wychowanie fizyczne młodzieży. Z kolei w imieniu prez. Grubera zabrał głos wice prezes Strzegocki, a pułk. Juljan Ulrych w pięknem przemówieniu oświetlił tak zaniedbane w Polsce zagadnienie, jakiem jest współpraca kultury duchowej z fizyczną, jako niezbędnych elementów w wychowywaniu człowieka i obywatela. Ostatni mówca, kierownik oddziału ogniska warszawskiego YMCA, poruszył cele sportowe, jakim sala ma służyć. Kultura fizyczna, szerzona przez YMCA, nie polega bowiem na rozbudzaniu niezdrowych ambicji zdobywania rekordów, lecz ma zadania ogólno - społeczne, a więc propaguje wychowanie fizyczne o typie grupowym i tylko tym racjonalnym ćwiczeniom służyć będzie nowa sala.

Interesująca ankieta

(jj) Z inicjatywy „Kurjera Porannego" toczyła się w prasie —jeszcze w XX-tem stuleciu niespóźniona! — dyskusja w sprawie bicia dzieci w szkole. Bić wszkole niewolno, ale tu i ówdzie zdarzają się wykroczenia w tej mierze. Natomiast w domu, w rodzinie najczęściej sprawa wygląda jeszcze tak, jak za „dawnych, dobrych czasów".

Prof. Leon Romanowski przeprowadził wśród dzieci własnej szkoły (pod Warszawą) interesującą ankietę i ogłosił jej wyniki w miesięczniku „Praca szkolna". Ogółem było zbadanych 209 dzieci, 105 chłopców i 104 dziewczęta, w wieku lat 6 do 16.

Najczęściej bite są dzieci w wieku 10 — 11 lat. Ilość bitych w domu: 204, a więc 98,6%. Tylko 5-ro dzieci, t. j. 1,4% nie było bitych (4 dziewczęta i 1 chłopiec). Najczęściej biją matki (w 70% wypadków).

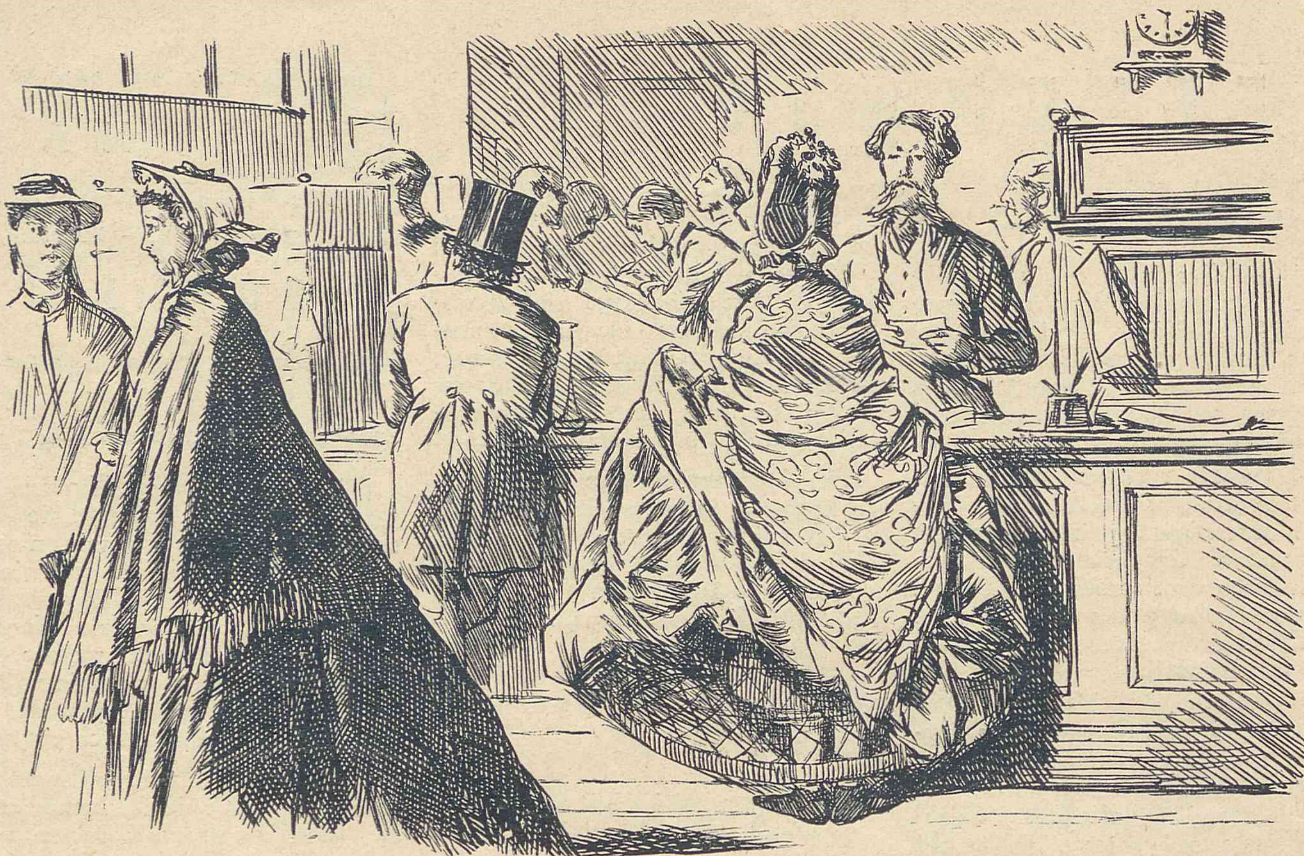
W rubryce „jak często biją"? — cyfry następujące: średnio raz na tydzień w 39-ciu wypadkach, średnio raz na miesiąc w 91 wypadkach.

W rubryce „jak biją": „w złości" — 46%, „spokojnie" 54%.

W rubryce „za co biją": za nieposłuszeństwo (147 wypadków), wyrządzenie szkody (73), niejedzenie (55), nieodrobienie lekcji (55), pobicie kogoś innego (47), złe oceny w szkole (44), krnąbrne odpowiedzi (44), kłamstwa (34) i t. d.

Najczęstszym więc powodem bicia jest nieposłuszeństwo (72%), szkodnictwo materjalne (31,7%) i... niejedzenie (22%).

Po sporządzeniu ankiety prof. Romanowski zwołał rodziców na naradę. Rodzice zgodzili się tytułem próby w ciągu paru miesięcy niebić dzieci. Po miesiącu nowa ankieta: w 135 domach rodzicielskich 73-je (t. j. 54%)dzieci poprawiło swe zachowanie, reszta bez zmian („dobre" i „złe"). Wpadków pogorszenia się sprawowania nie było.



KALENDARZYK WARSZAWY

Z PRZED PÓŁ WIEKU

MARZEC 1885 R.

KONIEC TIURNIUR?

„Suknie są coraz szersze u góry. Tiurniury zaczynają już wychodzić poza granice przyzwoitości. Przepowiadanie panowania krynolin zaczyna się sprawdzać pomału".

KRYNOLINY ZNISZCZYŁY ...TELEFON.

Spowodu tych właśnie krynolin zdarzyła się wówczas niedaleko Warszawy historyjka, której ofiarą padł telefon, a która wyglądała w sposób następujący:

„W pewnej okolicy na Kujawach dwaj sąsiedzi, właściciele dóbr, dążąc za postępem połączyli swe dwory telefonem.

Z telefonu tego korzystały pewnego dnia małżonki owych obywateli.

— Czy słyszała pani o powrocie krynolin? —spytała pani Y.

— Krynolin? — roześmiała się pani X — te chyba zdadzą się na tyki od chmielu.

Pani X, którą natura wyposażyła w kształty rubensowskie, nie miała zamiaru uchybić temi słowami pani Y, która doprawdy przypominała tykę chmielową. Ale ta wzięła to do siebie i rozpoczęła się awantura.

Telefon piszczał, baterje grzmiały i stała się rzecz niesłychana: telefon eksplodował.

Na huk wpadli panowie, każdy do swego telefonu, zastali druty porwane, baterje zdemontowane... Tak skończył się pierwszy telefon na Kujawach..."

Czy nie rozczulająca jest ta historyjka o eksplodującym telefonie i tuszy triumfującej nad tem, co się dziś nazywa „linją" a wówczas „tyką chmielową"?

ODCZYTY „WIELKOPOSTNE"

„Skończył się karnawał, życie wróciło do normalnego stanu, rozpoczyna się sezon wielkopostny.

Posiedzenia, prelekcje, rauty są na porządku dziennym. Towarzystwo osad rolnych krząta się raźno koło odczytów. Pośpieszymy in corpore na wykład o Brodzińskim i o sztuce przystrajania się u kobiet i mniejsza już o czem, byle znalazła się sposobność dla zebrania nieco świeższego materjału dla rautowych rozmów".

„NA OSADY".

Odczyty, urządzane corocznie przez towarzystwo osad rolnych, nazywały się popularnie odczytami „na osady". Odbywały się w Ratuszu o godzinie 1-ej pop. Oto, co o nich piszą:

„Ktoby sobie mógł wyobrazić warszawski wielki post bez odczytów na osady rolne. Stały się integralną częścią roku, z mody, która jest rzeczą najśmieszniejszą pod słońcem, przerodziły się w zwyczaj, a ten jest przecież drugą naturą".

Następuje opis pierwszego z odczytów, na którym było ogromnie tłoczno. Opis kończy się słowami:

„W kontramarkarni młodzież rzuca się na szerokie flukta galanterji".

ALBUMY.

„Od czasu, jak wynalazek Daguere'a i Nepce'a doszedł do dzisiejszej doskonałości, a albumy wyrugowały dawniejsze sentymentalne sztambuchy i pamiętniki..."

Tak zaczyna się artykulik o albumach z fotografjami wchodzącemi w modę po domach warszawskich. Zamiast „fotografja" — wynalazek Daguere'a i Nepce'a".

(kar. b.)

ALLA BAUD

WRAŻENIA Z JAWY

Kilka dni temu, wracając z Djokji, zatrzymałam się w Czeribonie, w pięknym pałacu rezydenta i jego małżonki, pary niezwykle kulturalnej i sympatycznej. Zwłaszcza rezydent, subtelny, idealista, kocha Jawę i Jawajczyków i dlatego prawdopodobnie rozumie ich lepiej, niż ktokolwiek inny.

Przemarkowałam noc całą w starym parku, otaczającym dom - pałac rezydencji, nad brzegiem oceanu; olbrzymie „wareningi", jak kaplice Wenedów, otoczyły mnie zewsząd i szeptały coś uroczyście, od czasu do czasu owoc dojrzałej „mangi" spadał z hałasem i budził dalekie morskie ptaki, kosy fantastyczne lub przedziwnego „beo", zamkniętego w swej klatce i wzdrygającego się na najmniejszy szelest.

„Beo", ptak niewielki, ze zgrabną szyjką, umiejący w sposób niezrównany naśladować słowa, dźwięki, śmiech, śpiew, rozmowę lub gwizdanie nie tak hałaśliwie, harcząco i parodyjnie, jak papugi, lecz jak najlepsza płyta gramofonowa.

Ten „beo" bawił mnie wielce, gdy karcił mnie rano za spóźnienie się do śniadania, naśladując głos starej sudaneskiej klucznicy: „pukul delapan, ada sijang, telor ada dzingin..." (ósma godzina, to już południe... jajka zamarzły!)...

Korzystając z paru wolnych godzin, wyruszyłyśmy z prezydentową zwiedzić grobowce Sułtanów tutejszych.

Nagle naprzeciwko naszego samochodu pędzi rozkołysany tłum tubylców, wykrzykując rytmicznie: Allah, Allah, Allah....

To pogrzeb jednego z pomniejszych okolicznych sułtaników, staruszka mniej lub więcej zapomnianego przez rząd i otoczenie.

Nieboszczyk owinięty jak mumja egipska, wprawdzie nie w papyrusy lecz w długie zwoje niezmiernie miękkiej materji, koloru kości słoniowej, ułożony podług ostatniego swego życzenia w wyżłobioną kłodę świętego drzewa, pokryty palmowemi, długiemi liśćmi. Owa kłoda spoczywała na noszach staroświeckich, złocistych, a huśtana i podrzucana była to w górę, to w dół przez młodzieńców, wyrywających sobie wesoło nieboszczyka..

Gdyż wiadomem jest, że kto dostąpi zaszczytu dotknięcia chociażby nosz książęcego zmarłego, temu ma to przynieść niespodziewane szczęście...

Orszak skromny, gdyż książątko ostatniemi czasy żyło z jałmużny możniejszej rodziny, boć ciężkie materjalnie chwile przeżywa obecnie Jawa...

Pył, jarzące słońce przepala nasze ciała, blask oślepiający smutnie odsłania opustoszałe tereny bezczynnych z powodu tragicznego kryzysu cukrowni. Szczęśliwie pracuje tytoniówka „Faroki".

Czeribon, ciche potulne miasteczko, przypomina swoim wschodnim nieporządkiem jakieś przedmieście Kairu lub Aleksandrji, a nie miasta Jawy zachodniej, zamożne i ulizane na sposób holenderski.

* * *

Zajeżdżamy przed „Astanę", to jest cmentarz.

Klucznik - zakrystjan wita nas z uniżeniem i prowadzi do wnętrza. Zdejmujemy obuwie, umywamy dłonie i cicho stąpamy po gładkim, chłodnym marmurze. Wspinamy się po marmurowych również stopniach, lecz zatrzymujemy się u stóp głównych schodów.... tych nikomu nie wolno przestąpić, prócz nosz z umarłym.

Cisza, upajający zapach żółtych kwiatów. Kochankowie ścielą sobie łoża z ich wonnych płatków, a na grobowcach zmieszane z ryżem i kadzidłem mają dawać zmarłemu przedsmak raju...

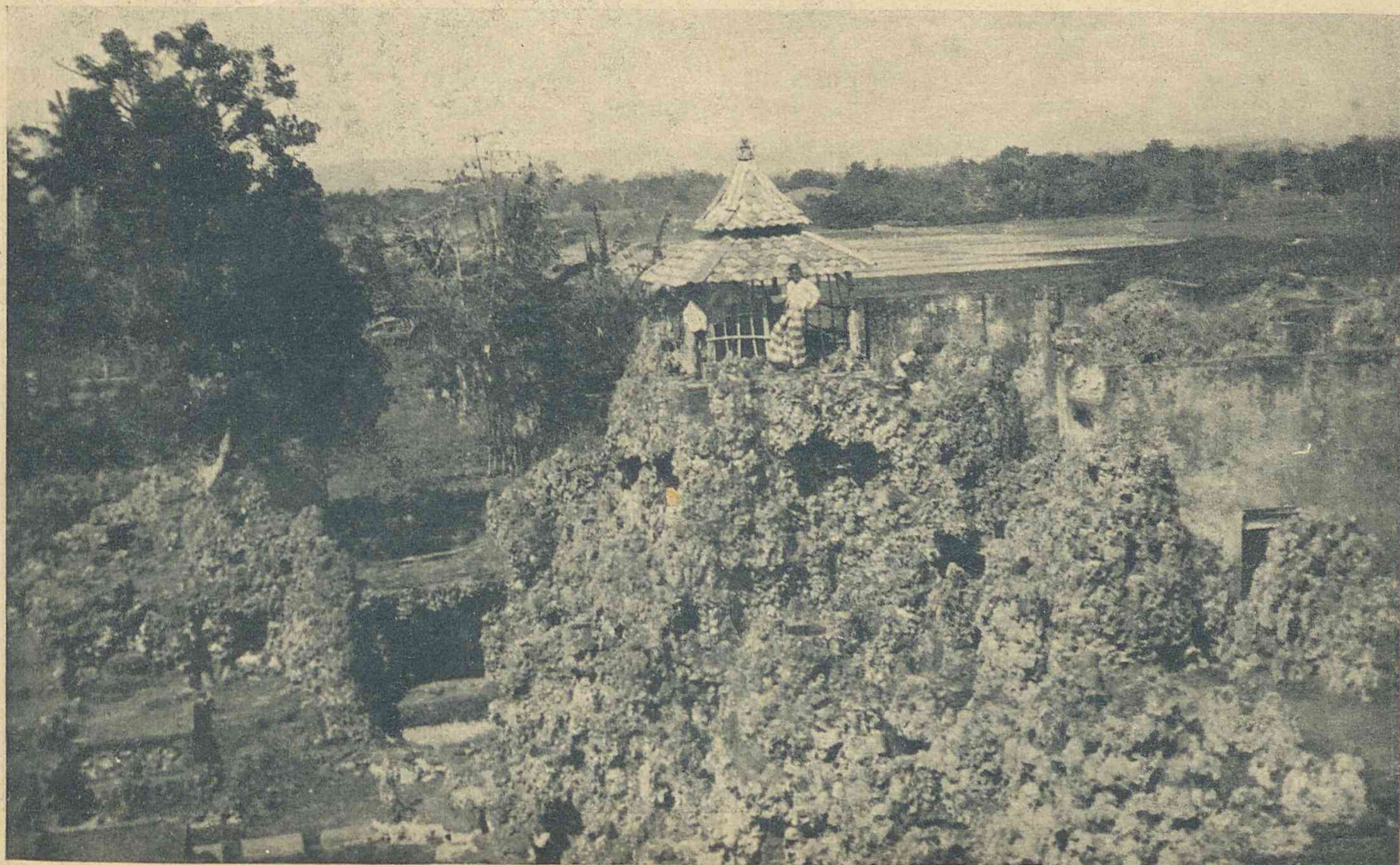
Wedle zwyczaju, zakrystjan przynosi nam urnę z rozrzażonemi węglami. Rzucamy mu srebrne monety, a on wzamian sypie na rozpalony popiół garść kadzidła, myrry i santalu.

Siedzimy w obłokach oczyszczającego dymu na marmurowych płytach i gwarzymy pocichu z prezydentową o jawajczykach i Islamie.

Właściwie kobiecie nie wolno tu przebywać, lecz my jesteśmy „białe", a w dodatku żony przedstawicieli rządu....

* * *

„Genoeng Djati" z ruinami grobowców.



Wejście do świątyni i grobowców.

Wjazd do pałacu Sułtana Sepoeh.

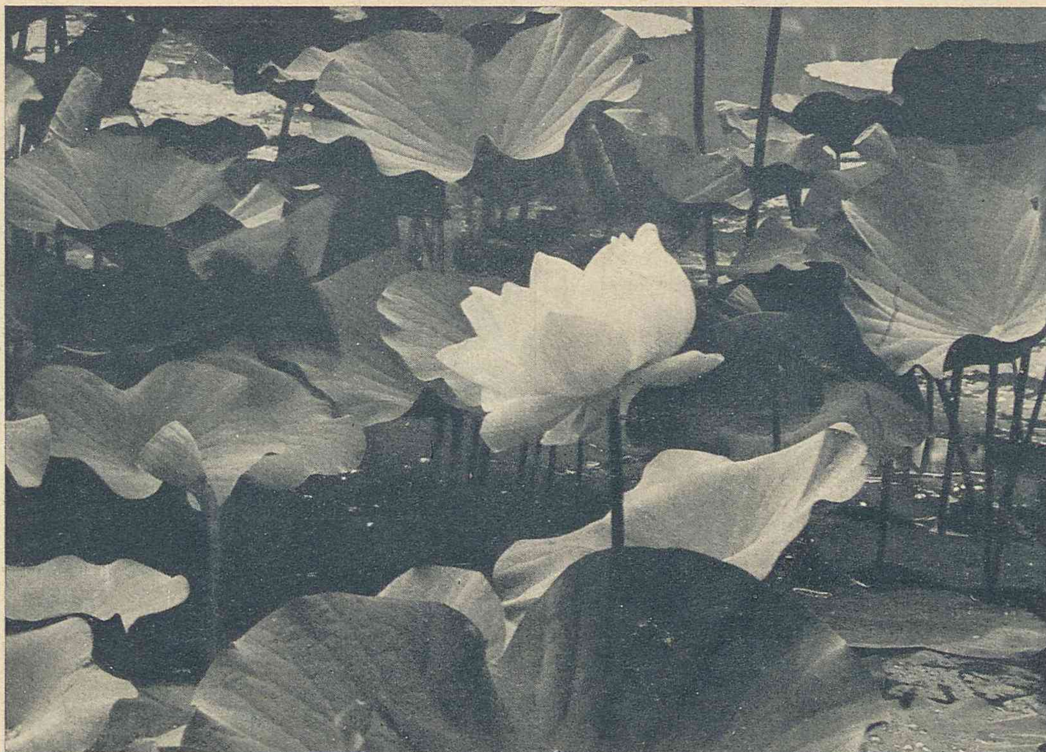
Potem każemy się wieść do „Goenoeng Djati" czyli „Góra z drzew djati", gdzie się znajdują ruiny grobowców i starożytnej świątyni hinduskiej.

Z trudem wyplątujemy się z masy krzaków kolczastych jerzyn i zgrai dziecinnych rąk szarpiących nas o jałmużnę... rozdajemy wszystkie nasze miedziaki i zmęczone rzucamy się na poduszki samochodu, osaczonego przez wynędzniałe kobiety i starców.

Głód nędza na Jawie! Trzy lata temu żadna dłoń jawajska nie zniżyłaby się do żebrania....

* * *

Wracamy do rezydencji: piękny stary pałac, zbudowany przez jenerał gubernatora Rafles'a (czasy napoleońskie) z myślą stworzenia centrum Jawy z portu Czeribonu. Wszystko tu napiętnowane angielską potrzebą komfortu: wszędzie marmury, kolumny, ogromne dworskie sale, galerje, pływalnie, trawniki jak w Hyde parku, stajnie, wozownie i inne zabudowania. Holendrzy zmienili marmur posadzek pokoi sypialnych na zwykłe kolorowe kafle i obstawili pałac olbrzymiemi ciężkiemi meblami, a obecny rezydent rzucił na środek tak zwanej sali tronowej, gdzie wisi portret królowej Wilhelminy, skórę tygrysa przez niego samego upolowanego.



Święty kwiat Wschodu — lotos.

* * *

O wpół do drugiej siadamy do stołu, goście niespodziewani, a więc tradycyjne menu „rijst tafel" (stół ryżowy).

Co to jest „rijst tafel"?

Duma malajskiej sztuki kulinarnej... częstokroć mniej lub więcej sparodjowana przez europejczyków, lecz tym razem wszystko się odbywa według tradycji.

A więc na stole zastawionym bogatą porcelaną, srebrem i przyozdobionym cudnemi lotosami — ogromne półmiski, głębokie talerze, a przy nich wielkie filiżanki tutejsze, ażurowe, prześwietlające w sposób niezmiernie artystyczny inkrustowane wewnątrz porcelany nasienia owocu papaja.

Dziesięciu małych chłopców „katzisgów", t. j. piccolo w lśniąco białych ubraniach, jednakowych fezach na głowach, boso, lecz w białych rękawiczkach, pod nadzorem dwóch „mandurów" (maître d'Hôtel) i dwóch „jonghosów" (lokai) obnosi poważnie, z namaszczeniem szeregi najdziwaczniej przygotowanych potraw. A czego tam niema!

Przedewszystkiem w ogromnych salaterach ryż lekki, pulchny, gorący, bez soli, bez masła, bez żadnej przyprawy, lecz jak długo i nabożnie według wszystkich przepisów przygotowywany!

Nabiera się go srebrną lub szyldkretową warząchwią na talerz, sporą ilość w formie pagórka, a zupę w jawajskie filiżanki. Następnie idą kury... miękkie, twarde, z „kari", bez „kari", pieczone, smażone, zwęglone z zapachem najdziwaczniejszych specjałów. Ryby: karasie, szczupaki, morskie pstrągi i inne bardziej niesamowite. Za niemi jarzyny znane i nieznane, gotowane, surowe, macerowane w czerwonym pieprzu i kokosowym orzechu „Szambelanem" zwanym.

Następnie algi morskie, jajka łabędzie lub nawet... kurze i gęsie w prześlicznych galaretkach różowych i zielonych, owoce niedojrzałe w oliwie i śmietanie i posypane kminkiem, za niemi sunie sałata oblana „soją", pokrajana cieniutko z rzepy, krewetek, gwiazd morskich, ozdobiona konfiturą z ananasa. Nareszcie zjawia się dzik lub nawet bawół z gałką muszkatałową i naturalnie na ogromnym srebrnym półmisku „krupik", coś w rodzaju macy, lub sucharów, smażonych w kokosowej oliwie....

Biesiadnicy znikają... osłonięci górami, jakie się tworzą przed nimi na dużych głębokich talerzach i na całej armji talerzyków mniejszych.

Mrożone piwo w puharach godnych króla Beowulfa. A na zakończenie pieczywa i torty rozmaite, poczem owoce raju, częstokroć z ...wonnym, jak zepsuty szwajcarski ser, „durijanem", za którym przepadają krajowcy!

Kawa — ekstrakt, w naparstkowej wielkości filiżaneczkach, no i rozumie się... dobrze zasłużona „siesta"....

* * *

Jednak już o piątej popołudniu, wymyci, spryscznicowani, w wyprasowanej świeżo odzieży prażyliśmy gardła mocną i wonną herbatą z kroplą skondensowanego mleka i z holenderskim „spekułasem", a o wpół do szóstej rozparci w prezydentowskim samochodzie zajechaliśmy przed „Kraton" Sułtana Sepoeh, miłego, ascetycznego staruszka.

* * *

„Sułtan Sepoeh", znawca Koranu, starej Jawajskiej literatury, wielki patrjota, ubolewający nad utratą niezależności swej ojczyzny, czyta w sercach i myślach ludzkich... A jednak jest za słaby dla swego najbliższego otoczenia, bo osaczony jest przez rodzinę wyzyskującą go we wszelki możliwy sposób i wpędzającą go w długi.

Te wieczne długi, to plaga „Kratonów" i wogóle charakterystyczny rys malajczyka, do jakiejby warstwy socjalnej nie należał.

Niemało ma z nimi kłopotów rząd holenderski, pragnący nauczyć swych poddanych zbawiennej oszczędności!

Lecz Malajczyk żyje zawsze nad stan, zacząwszy od króla, książąt i najwyższych funkcjonarjuszy, skończywszy na zwykłym „kulisie" (najniższy wyrobnik).

Rujnuje się na biżuterje, slamatany, to jest rytualne przyjęcia, wszelkie gry, stajnie wyścigowe, samochody i absolutnie niezdolny jest do nakreślenia jakiegokolwiek budżetu....

Wpada stale w sidła lichwiarzy, z których nie umie się wyplątać.

Arab, ten cień czyhający, jak niegdyś w przedwojennej Polsce żyd - szynkarz lub bankier, nęci, kusi, skrada się do pałacowych komnat i spiskuje z intendentami dworu... aż pewnego dnia wybucha katastrofa!

Cały Kraton, ruchomości i nieruchomości znajdują się w drapieżnych rękach świętego z Mekki...

W takiem to położeniu kilka dni temu znalazł się Sułtan Sepoeh, wzywając osobiście pomocy rezydenta!

Zawikłane to sprawy, w które wchodzą, „adat", czyli prawo Koranu, przystosowane do Malajczyków i ich tradycji rodowych, honor książęcy i „hormat" czyli etykieta, dobre wychowanie, pozory i t. p.

Tym razem staruszek trafił na przyjaciela, który niejednokrotnie wyplątywał go z ciężkich opresji...

* * *

Objechawszy zygzakiem parę podwórzy — forum pałacowych (gdyż perspektywa i prosta linja wzbronione są w Kratonie, ażeby zmylić złe siły i uniknąć nieetykietalnej ciekawości przechodni), zatrzymaliśmy się przed honorowym „pendoppo" (sala obrad i oficjalnych przyjęć, przykryta dachem spoczywającym na kolumnach, lecz otwarta zewnętrznie, nie posiadająca żadnych drzwi).

Staruszek czekał na nas, wzruszony, wdzięczny i szczerze uradowany naszem przybyciem. Towarzyszyli mu zięć, szwagier i mała skromna świta pałacowa.

Szczupły, drobny o rasowym wyglądzie i prawdziwie książęcem ułożeniu, niewielkiego wzrostu, lecz wyniośle trzymający głowę o orlim nosie i niezmiernie pięknych wyrazistych oczach. Głębokie spojrzenie. Wązkie arystokratyczne ręce.

Prowadził nas poprzez „pendoppo" do ogromnej sali seledynowo - złotej, napełnionej leciuchną mgłą kadzidła i zapachem jakichś cudnych ziół.

Umeblowana po staro - holendersku, aż do tronowego wzniesienia, gdzie po kilku stopniach wchodziło się na posadzkę okrytą miękkiemi dywanami i gdzie na pierwszym planie widniało łoże tronowe, całe w haftach, adamaszku i drogich kamieniach. Z dwu stron chorągwie i sztandary podziurawione od kul holenderskich z przed wielu wielu lat.



Typowy obraz z Jawy

W węgłach otwarte „ikonastazy" napełnione kosztownościami, a więc korony usiane brylantami, pierścienie, naszyjniki, misterne szpile, wszelakie odznaczenia i cudownej roboty złote filiżany w formie pąków lotosu, rozchylających się przy każdem dotknięciu.

Ściany ozdobione, jak grobowce, inkrustowanemi talerzami i kaflami z majoliki, parawany z cytatami Koranu.

Po pełnem czci obejrzeniu tych szczątków świetnej przeszłości Sułtana i jego rodziny, zatrzymałam się chwilę przed portretem (powiększenie fotografji na porcelanie, za którą przepadają tubylcy) pierwszej Sułtanki, oficjalnej żony Sułtana Sepoeh.

Rozmowa płynęła cicha, miła, po jawajsku, malajsku i po holendersku, o starych dziejach, zwyczajach i rodzinie Sułtana. Rezydent, który chciał pozostać przez chwilę sam na sam z Sułtanem, wysłał nas obie z żoną zwiedzić dawne stajnie pałacowe, w których odkryłyśmy bajkowy zaprząg, kolasę na piętro wysoką z Garudą, jak z łabędziem Lohengrina, bezgranicznie ciężką, do której zaprzęgano niegdyś całą wieś niewolniczo-poddanych... Obecnie jest ona zabytkiem muzealnym, jak również ciężkie wojenne puklerze, dzidy i łuki.

* * *

Gdy powróciliśmy do sali, na stole leżały zwoje pożółkłych papyrusów: sentencje, historja, literatura, poezja starojawajska. Sułtan deklamował całe epopeje na pamięć. Olśniona jego erudycją, wyraziłam mu moje zdziwienie; odpowiedział mi żartobliwie, zasłaniając się uśmiechem, jak tarczą....

„Ja przecież nic nie mam do roboty, nawet do myślenia, gdyż rząd Holenderski odsunął raz na zawsze odemnie kłopoty rządów"....

Pożegnaliśmy się gorąco i poczułam, jakby błogosławieństwo, spływające z jego dobrych, tajemnic pełnych oczu.

Turystyka, jako dział gospodarki narodowej

Ćwierć miljarda złotych wynoszą w przybliżeniu ogólne obroty ruchu turystycznego w Polsce. Suma ta w porównaniu z innemi krajami jest jednak niewielka, zagadnienie więc rozwoju turystyki ma pierwszorzędną wagę.

O roli turystyki w współczesnej gospodarce narodowej, ze szczególnem uwzględnieniem Polski, dowiadujemy się z świeżo opublikowanej pracy mjr. Mieczysława Fularskiego, Naczelnego Dyrektora Orbisu, wydanej pod tyt. „Turystyka, jako dział gospodarki narodowej" w serji „Bibljoteki Turystycznej Orbisu".

Podkreśliwszy znaczenie turystyki w życiu politycznem, kulturalnem i ekonomicznem narodów, autor omawia pozycje bilansu handlowego i płatniczego w związku z turystyką oraz przemysły, opierające swój rozwój na turystyce.

Praca mjr. Fularskiego jest nietylko stwierdzeniem istniejącego stanu rzeczy, lecz daje wskazówki, w jakim kierunku iść powinna akcja nad rozwojem ruchu turystycznego u nas, oraz wnioski, interesujące zarówno działaczów turystycznych, ekonomistów, przemysłowców, jak szerszą publiczność w Polsce, która jest krajem wielkich możliwości turystycznych.

ŚWIAT TEATRU



Urocza Nakoneczna pociesza zatroskanego Fertnera



TEATR MAŁY

„CUDZIK i S-KA". Sztuka w 3-ch aktach Stefana Kiedrzyńskiego.

Wystawiona w teatrze Małym sztuka Kiedrzyńskiego nie należy do najlepszych utworów, tego doskonałego znawcy teatru i gustu publiczności. „Cudzik i S-ka" nie ma tej werwy brutalnej często, ale decydującej nierzadko o powodzeniu komedji Kiedrzyńskiego. Figury zazwyczaj plastyczne i w „Cudziku" są trafnemi „odbitkami" z życia, ale rzecz sama jest słaba.

Główna zaleta tej komedji, to umożliwienie Fertnerowi odsłonięcia i uwypuklenia swych wartości sentymentalno-uczuciowych. Świetny komik dał nam kilka momentów głębszego ujęcia postaci Cudzika bardzo trafnych i subtelnych. W roli mądrej i pięknej panny Kazi, zjawiskowej ekspedjentki p. Nakoneczna miała wiele wdzięku i naturalności, wykazując stale techniczne postępy. Sulima w drobnej rólce wykazała jeszcze raz „jak mówić należy". Daczyński i Karczewski naturalnie „odstawiali" humor. Samborski narysował trafnie sylwetkę „bywszawo gwardiejca", ale szczególiki przeciągał, podkreślając rozwlekłość tej roli. Skondensować to co gada ex-gwardiejec w 15-tu zdaniach, a typ byłby uchwycony doskonale. Błąd autora — aktorsko powtórzył również Samborski.

L. Ch.



Grywińska i Butkiewicz w „Norze"

Z FILHARMONJI

W piątek, dnia 22 marca 1935 r. o godz. 8-ej wiecz., odbędzie się *XII Wielki Koncert Symfoniczny.*

Udział biorą: *Orkiestra Filharmonji Warszawskiej.* Dyrekcja: *Grzegorz Fitelberg.* Solistka: *Cecylja Hansen* (skrzypce). W programie: *K. Sikorski* — II symfonja.

Brahms — Koncert skrzypcowy. *S. Prokofjew* — Symfonja klasyczna. *R. Strauss* — Till Eulenspiegel.

ANONS.

W piątek 29 marca, r. b. o godz. 8-ej wiecz., odbędzie się: *XIII Wielki Koncert Symfoniczny.*

Udział biorą: *Orkiestra Filharmonji Warszawskiej.* Dyrekcja: *Walerjan Berdiajew.* Solista: *Aleksander Unińskij* (fortepian). W programie: *Statkowski* — Uwertura do op. „Marja". *Czajkowski* — Koncert fortepianowy. *Rytel* — Poemat symfoniczny „Sen Dantego". *Rimskij-Korsakow*—Poemat symfoniczny „Sadko".

TEATR KAMERALNY

„NORA", sztuka w 3-ch aktach Henryka Ibsena. Reżycerja K. Adwentowicza.

Społeczno-obyczajowa ewolucja kobiety odbyła olbrzymią drogę od dnia, w którym „Nora" po raz pierwszy ujrzała światło sceniczne. Pewne pierwiastki „rewolucyjne" dramatu ibsenowskiego wyblakły dziś zupełnie. Widza współczesnego uderza w „Norze" przedewszystkiem pewien brak wiary w siłę wysuniętej tezy, stąd też owa papierowość i sztuki i niemal wszystkich postaci. Ibsen poruszając problem „człowieczeństwa" kobiety, tak całkowicie negowany przez Strindberga i jego grupę, nie wierzył sam widocznie w jego przeprowadzenie. Z dramatu zrobił się uinscenizowany referat polemiczny, pokryty w dodatku pleśnią przez nielitościwy i wiecznie płynny czas. „Nora" ma być protestem przeciw atmosferze kłamstwa w małżeństwie, lecz sama w zasadniczej strukturze, jak i w najdrobniejszych odruchach jest uosobieniem tego kłamstwa — jej odejście nie może być szczerem i przekonywującem, jest również patetycznem kłamstwem.

Tytułową rolę z bardzo ładnemi wynikami kreowała p. Grywińska, podkreślając przedewszystkiem jej stronę uczuciową, nawskroś kobiecą. Dała postać zwartą, bardzo logiczną w swojej nielogiczności i silne narysowaną, zwłaszcza w momentach dramatycznych. W rolach dalszych dużo ciepłych i szczerych akcentów mieli p.p. Zamiłło i Maliszewski. P. Surzyński grał nierówno i chaotycznie, p. Butkiewicz przedramatyzował postać Güntera. Śliczne wnętrze jest dziełem p. Lorentowicz-Karwowskiej, reżyserja Adwentowicza wysokiej klasy, a poprawiony przekład dobry. *J. S. W.*

Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Ś. P. DR. STEFAN BARTOSZEWICZ

Upłynęło 3 miesięce jak rozstał się z tym światem jeden z najzasłużeńszych pionierów przemysłu naftowego, wybitny działacz społeczno - ekonomiczny ś. p. Dr. Stefan Bartoszewicz. Urodzony w roku 1870, ukończył gimnazjum klasyczne w Odessie ze złotym medalem. Po krótkim pobycie w uniwersytecie Odesskim, został zwolniony, w związku z rozruchami rewolucyjnymi w roku 1890 i przeniósł się na politechnikę do Lwowa, a później do Karlsruhe (Niemcy), gdzie chlubnie ukończył studja, podczas których, grał wybitną rolę w życiu akademickiem i jako jeden z najczynniejszych a ponadto znakomity mówca, bywał zazwyczaj delegatem na zjazdach młodzieży polskiej. Następnie doktoryzował się w Bernie z chemji, otrzymując stopień doktora magna cum laude. Od tej chwili wraca do Małopolski i poświęca się całkowicie przemysłowi naftowemu, będąc, przez pierwsze 5 lat, kierownikiem technicznym rafinerji, a następnie, we Lwowie, generalnym sekretarzem Krajowego Towarzystwa Naftowego, reprezentującego cały przemysł naftowy. Na tym stanowisku redaguje dwutygodnik „Nafta", ogłasza szereg artykułów ekonomicznych o przemyśle naftowym wydaje broszurę „Ropa jako materjał opałowy" oraz współpracuje przy wydaniu przez Sejm galicyjski, Krajowej Ustawy Naftowej. W czasie wojny światowej, ogłasza w Szwajcarji szereg artykułów w kwestji polskiej, a podczas Kongresu pokojowego w Paryżu, pracuje w delegacji ekonomicznej polskiej, jako referent przemysłu naftowego. W 1919 roku wraca do Warszawy i obejmuje w Ministerstwie Przemysłu i Handlu stanowisko naczelnika wydziału Nafty. Tu wytęża całą swą energję dla zorganizowania wydziału, doprowadza do skutku budowę państwowych gazociągów naftowych, organizuje administrację państwowych terenów naftowych i na tym stanowisku zostaje odznaczony Krzyżem oficerskim „Polonia Restituta. W roku 1926 opuszcza dobrowolnie stanowisko naczelnika wydziału i zostaje urzędującym v. prezesem Związku Polskich producentów i rafinerów naftowych. W ostatnich kilku latach ogłasza na tym stanowisku szereg artykułów w prasie zagranicznej i krajowej o przemyśle naftowym w Polsce, wydaje broszurę „Przemysł naftowy w Polsce", wchodzi do Rady Centralnego Związku Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów, zostaje powołany na Członka Komisji Opinjodawczej przy prezesie Komitetu Ekonomicznego Ministrów. W roku 1927 zostaje członkiem Komisji Organizacyjnej Zakładu Ubezpieczeń pracowników Umysłowych, późniejszej Ubezpieczalni Społecznej, na którym to stanowisku pracuje do ostatka kładąc wielkie zasługi na polu Ubezpieczeń społecznych. Jest Członkiem Komisji Rewizyjnej Związku Kas Chorych, Członkiem koresp. Warszawskiej Izby Handlowej, Członkiem Komitetu Redakcyjnego pisma „Przemysł Naftowy", korespondentem amerykańskiego pisma „World Petroleum", „Kurjera Warszawskiego" i wielu innych. Przed kilkoma zaledwie miesiącami publikuje „Wspomnienia z przemysłu naftowego (1897 — 1930), które stanowią poważny przyczynek do historji polskiego przemysłu naftowego, a pisane są z takim talentem, że czyta się je jednym tchem.

Głęboka wiedza, wieloletnie doświadczenie nigdy nie słabnąca energja i pracowitość, niezwykła, czyniły ze ś. p. Stefana Bartoszewicza niepospolitą siłę w służbie Ojczyzny, a wielkie zalety serca i charakteru i wyjątkowy czar osobisty zjednywały Mu wszystkich, którzy Go znali. Zachorował na zjeździe naftowym we Lwowie i odszedł niespodzianie, w pełni sił, pozostawiając po sobie lukę ogromną w życiu społeczno - gospodarczem kraju, a w sercach żal najgłębszy.



Ś. P. LUCJAN MAŁKOWSKI

Ś. p. Lucjan Małkowski, Inspektor Lasów Ordynacji Zamojskiej, zgasł przedwcześnie w dniu 2-gim marca 1935 roku w Zwierzyńcu Lubelskim, przeżywszy lat 56.

Ś. p. Lucjan Małkowski odbył studja wyższe w Instytucie Leśnym w Petersburgu i po otrzymaniu dyplomu wstąpił w 1909 r. do pracy zawodowej w Ordynacji Zamojskiej, gdzie dzięki swym uzdolnieniom, awansował na stanowisko Inspektora Lasów, na którem zastała go nieubłagana śmierć.

Tak Instytucja, w której pracował, jak również wszyscy Jego koledzy i towarzysze pracy tracą w Nim oddanego swym obowiązkom pracownika, zacnego kolegę i przełożonego, a społeczeństwo szlachetną i pożyteczną jednostkę, — to też pozostawił po sobie szczery żal w sercach tych wszystkich, którzy Go znali.

CZY RUSZYMY Z MIEJSCA

Rok 1935-ty miał być rokiem zwrotnym w demotoryzacji Polski, trwającej progresywnie z górą cztery lata.

Coraz częstsze, od miesięcy ukazujące się wzmianki w pół-oficjalnej prasie, kazały spodziewać się, że skończy się nareszcie dotychczasowa polityka, niszcząca systematycznie rozwój ruchu samochodowego w kraju.

Lecz optymistyczne nadzieje zawiodły. Samobójcza polityka celna trwa dalej, pomimo, iż traktat handlowy z Anglją przyniósł 80-cioprocentową zniżkę celną na samochody o litrażu do 1,400 cm^3. Zniżka to dotyczy również samochodów produkcji innych krajów, posiadających z Polską traktaty handlowe. Wyłączone są tylko Niemcy, które nie posiadają klauzuli największego uprzywilejowania.

Samochody o pojemności 2.3 do 4 litrów clone będą nadal według prohibicyjnej taryfy; np. 8-mio cylindrowy Ford kosztuje loco Ameryka *2.420 zł.* — loco Gdynia — już 3.650 zł. (t. j. opłaca z chwilą przybycia do Gdyni różnych świadczeń w wysokości 1.230 zł., czyli 50% swojej wartości). *Cło tegoż samochodu przy wwozie do Polski wynosić będzie 6.345 zł.*. Tu już nie potrzeba komentarzy, cyfry mówią same za siebie!

Tak więc jeżeli po podpisaniu traktatu handlowego z Anglją nie stoimy już na martwym punkcie, to jednak niewiele się zmieniło na lepsze. Polityka motoryzacyjna powinna się oprzeć na innych przesłankach, a mianowicie: zniżki celne powinny być równe dla wszystkich samochodów bez wyjątku. — Cena ich musi odpowiadać kalkulacyjnie cenom samochodów w krajach posiadających rozwinięty przemysł samochodowy.

Następnie musi się wytworzyć sprzedaż samochodów oparta na konkurencji handlowej, a skończyć się muszą przywileje monopolowe. Zaś przedewszystkiem zmienić należy swoistą politykę podatkową. Zamiast premji i ulg, któreby zachęcały do nabywania samochodów, jak to ma miejsce w Niemczech, panuje u nas i nadal wrogie ustosunkowanie się władz do posiadaczy samochodów.

Na każdym kroku automobilista spotyka u nas jakby umyślną a złośliwą akcję, która obrzydzić mu może raz na zawsze posiadanie samochodu.

Marja de Lavaux.

Czas nadawania audycyj

Począwszy od 3 marca b. r., Polskie Radjo zwiększa czas pracy stacyj nadawczych. W niedziele i święta wszystkie rozgłośnie Polskiego Radja pracują bez przerwy od godz. 9.00 do 24.00, czyli 15 godzin na dobę. W dnie powszednie Warszawa, Wilno i Kraków czynne są przez 10 godzin 50 minut, z wyjątkiem sobót, kiedy praca tych stacyj trwa 12 godzin 40 minut. Łódź pracuje codziennie o trzy kwadranse dłużej, niż w okresie zimowym. Katowice, Lwów, Poznań i Toruń również pracują o trzy kwadranse dłużej, czyli mają skróconą przerwę południową, ale w ten sposób, że codziennie na zmianę pracują po dwie stacje: Katowice — Lwów, Poznań — Toruń. W ten sposób stacje regjonalne nie mają obecnie przerwy w nadawaniu programów między godz. 14.00 a 14.45.

Wszyscy do Warszawy na 19 marca!

Cała Polska spotyka się w Warszawie na wielkim zjeździe organizowanym przez Komitet Propagandy Czynu Polskiego z okazji imienin Marszałka Piłsudskiego w dniach 18—20 marca.

Karty uczestnictwa w cenie zł. 3,— nabywane we wszystkich placówkach ORBISU, uprawniają do 70% zniżki kolejowej, według starej taryfy, przy przejazdach w obie strony, na wszystkie pociągi osobowe, niezależnie od odległości, oraz na pośpieszne przy odległości większej, niż 200 km., w kl. II i III.

Na dworcach warszawskich czynne są całą dobę biura informacyjne, które skierowują uczestników zjazdu na przygotowane kwatery.

Karty uczestnictwa uprawniają do bezpłatnego zwiedzania Łazienek i muzeów w Warszawie, do zniżek w teatrach i kinach.

Informacje i karty w ORBISIE.

Kwiecień na Południu

Wszystkie placówki ORBISU przyjmują zapisy na Wiosenną Wycieczkę Morską, która wyruszy z Gdyni 5 kwietnia i przez 24 dni zwiedzi piękne wybrzeża Hiszpanji, Marokka, Rivierę i Baleary.

Niezwykle atrakcyjna podróż na odnowionym komfortowo statku s/s Kościuszko. Ceny od 530 zł.—

Dla urzędników, oficerów i ich żon, oraz dla emerytów zniżki.

ANEGDOTY TEATRALNE

U Semadeniego aktorzy rozmawiają o kilku jubileuszach, które mają się odbyć w bieżącym sezonie.

— Jaracz, Junosza - Stępowski obchodzą swe trzydziestolecia, Solski sześćdziesięciolecie...

Ktoś wtrąca:

— Jarossy też obchodzi w Filharmonji swe dziesięciolecie...

— No tak — replikuje pierwszy — Jarossy obchodzi tylko dziesięciolecie, ale zato krwawej pracy.

— Krwawej? To już przesada. Nie jest to łatwe zadanie przez dziesięć lat co wieczór dwa razy występować, ale zaraz nazywać to krwawą pracą... Przesada.

— Nazywam ją krwawą, bo przez dziesięć lat *kaleczy* język polski.

* * *

Baletniczka w operetce Lehara pod tytułem „Kraina uśmiechu", tańcząc, uderzyła się w kostkę. Dokończywszy numeru, zeszła ze sceny i dopiero teraz pozwoliła sobie bez żenady na łzy.

Tenor opery, Szczepański, widząc płaczącą tancerkę, głaszcze ją po głowie i tłumaczy:

— Nie płacz, nie płacz; przecież to „kraina uśmiechu".

* * *

„Teatr na Kredytowej" przestał istnieć. Na jego miejsce powstała: „Nowa operetka". Nowy dyrektor, pod którego kierownictwem grają nadal komedję muzyczną, zostawioną w sukcesji po poprzedniej dyrekcji — zadecydował, iż trzeba zaprowadzić pewne reformy, zmierzające, jego zdaniem, ku sanacji warunków administracyjnych i artystycznych teatru.

Kiedy personel artystyczny domagał się konkretnych danych co do zamierzonych najbliższych reform, nowy dyrektor rzekł:

— Obniżka cen miejsc w teatrze i podwyżka poziomu artystycznego przedstawień.

Publiczność teatralna w stolicy znana jest z tego, że lubi się spóźniać na przedstawienia.

Nieraz prasa z przekąsem wyraża się o tej wadzie warszawskich teatromanów. Ale oto parę dni temu, ci, którzy z opóźnieniem wkraczali na widownię teatru Nowego, byli niespodzianie i bezpośrednio a ostro karceni za spóźnienie.

Przez kogo?

Otóż niemałą rolę w sztuce „Miss Ba" gra suczka przezwiskiem Kasia — faworytka i własność Malickiej, odtwórczyni roli tytułowej.

Piesek zachowuje się zwykle na scenie najtaktowniej w świecie. Ale gdy pewnego wieczora kurtyna poszła do góry i zaczął się już djalog Malickiej i Bogusińskiej, raz po raz kilka osób spóźnionych weszło na salę. Ten ruch na widowni, która nie posiada w teatrze Nowym rozdziału ze sceną w postaci podwyższenia tej ostatniej — tak oburzył teatralną psinę, że wypadła zupełnie z roli i ze sceny, oszczekując spóźnionych widzów i odprowadzając każdego od wejścia aż do krzesła, na którem usiadł.

* * *

Teatr prowincjonalny grał w Łomży „Kwadraturę koła", w Stołpcach: „Norę" Ibsena. Aktor pyta kolegę, który będąc bezrobotnym, zorganizował występy na prowincji, jak się powiodła ta impreza. Dyrektor „z musu" machnął ręką z niechęcią:

— Wogóle objazdy teatru po prowincji to dziś jest właściwie istna „kwadratura koła".

— A jak ci poszła „Nora" w Stołpcach?

— Stołpce? Nora...

LICYTACJA

Komornik, jak się czasem zdarza,
robił zajęcie inwentarza.
Na niepokaźną dosyć kwotę,
ściśle czterdzieści cztery złote,
zajął dwie szafy i firanki,
kredens, talerze, stół i szklanki,
aż wreszcie w biurku, w jakiejś wnęce,
los loteryjny wpadł mu w ręce.

Komornik w spisie ruchomości
dopisał: „kartka bez wartości",
potem popatrzył jeszcze wokół
i tem zakończył swój protokół.

. . . .

Nie minął tydzień od zajęcia,
gdy w domu od krótkiego spięcia,
wybuchnął pożar na tem piętrze
i zniszczył wzięte w sekwestr wnętrze,
a co nie zniszczył—poosmalał
i tylko, trafem, los ocalał.

A już nazajutrz w dzień ciągnienia
los radykalnie wszystko zmienia,
bo pada nań ni mniej ni więcej,
okrągło licząc: 100.000.

. . . .

Tak to papierek „bez wartości"
był źródłem szczęścia i radości.



W Krynicy „ostatki" słońca i śniegu lśniły w ostatnie dni karnawału.

Anegdoty teatralne

W cukierni Semadeniego „pod filarami" można się dowiedzieć wiele rzeczy, nawet takich, które nie mają żadnych szans realizacji. Te ostatnie zwłaszcza rozsiewają zwykle ludzie tacy „co to wszystko wiedzą".

We wzmiankach o rekonwalescencji znakomitego artysty, Junoszy Stępowskiego — niektóre pisma umieściły wiadomość, że pierwsze przedstawienie, w jakiem ukaże się ulubieniec teatralnej publiczności w teatrze Narodowym, będzie jednocześnie jubileuszem trzydziestoletniej pracy świetnego aktora.

Przy końcu wzmianek zaznaczono, że operowana dłoń artysty goi się pomyślnie, ale prawdopodobnie blizny zmuszą sławnego aktora do wystąpienia w rękawiczce.

W związku z tą ostatnią uwagą, jeden z tych „co to wszystko wiedzą" — dowodził kolegom Stępowskiego u Semadeniego, że jubilat wystąpi poraz pierwszy po chorobie w „Rękawiczce" Żeromskiego.

* * *

— Byłam na „Teorji Einsteina" w Reducie. Ale miałam duży zawód.

— Dlaczego? Podobno wcale ciekawe przedstawienie.

— Może. Ale ja ciągle oczekiwałam, że będzie coś o tem sztucznem odmłodzeniu doktora Einsteina, a tu nic, tylko jakieś filozoficzne dysertacje...

— Bo to Steinach, a nie Einstein odmładza, stąd powstał zawód drogiej pani. Innym się ta sztuka podoba.

— Wszystko jest względne, proszę pana, i gust także.

— O, widzi pani: to jest właśnie teorja Einsteina.

— ? ? ?

Kalendarzyk wycieczek ORBISU na marzec 1935 r.

19.III. — 7. IV. — Pielgrzymka do Rzymu i Ziemi Świętej. Przez Wenecję, Florencję, Rzym, Neapol, statkiem włoskim „Oceania", z powrotem — s/s „Polonia". Zwiedzanie Stambułu i Aten (od zł. 1.200.—).

19. — 30.III. — Pociąg narciarski do Garmisch - Partenkirchen (zależnie od warunków atmosferycznych).

II-ga połowa marca. 2-tygodniowa wycieczka narciarska do Are w Szwecji, na s/s Marieholm. Pobyt w Sztokholmie, postoje w portach: Karlskrona, Malmö i Kłajpeda (od zł. 385.—).

Pozatem ORBIS urządza wycieczki turystyczne zamknięte: dla Bloku Zawodowych Artystów - Plastyków do Berlina (17 — 22.III) i dla Stowarzyszenia Kupców Polskich do Moskwy i Leningradu.

W St. Moritz na lodzie odbywają się wesołe „Corridy"



KOSMETYKA PANI ZOJI

PO KARNAWALE

Minął szał zabaw, a z niemi i wymyślne uczesania w loki i wielki balowy „maquillage".

W poście należy uczciwie zająć się pielęgnacją skóry, która nieraz ucierpiała w dusznej sali dancingowej pod warstwami różu i pudru.

Parowanie skóry, które obecnie prawie odeszło do przeszłości — w tym wypadku jednak musi być zastosowane.

Na pierwszy rzut oka wydaje się nam, że dobrze oczyszczamy skórę twarzy, jednak są gatunki skóry, które od czasu do czasu należy wyparować i wyrzucić nieczystości, które zapychają pory.

Nie należy tylko zapominać przy stosowaniu parówki położyć tłusty krem pod oczy.

Po użyciu wanny parowej pory zamykamy w sposób stosowny do gatunku skóry, najczęściej „maseczką" ściągającą pory oraz dezynfekującą jednocześnie.

Po oczyszczeniu skóry za pomocą parówki, należy zacząć własnoręcznie stosować codzienną pielęgnację indywidualną, która musi być jaknajmniej skomplikowana i polegać na właściwem umywaniu się oraz stosowaniu odrobiny kremu pod puder, który zwalcza zasadniczą wadę skóry.

PORADY KOSMETYCZNE

Odpowiedzi Redakcji.

Pani Lipkowska. Skóra twarzy zmęczona szminką musi być po dokładnem oczyszczeniu natłuszczona delikatnym kremem, jak *ELOE - OPTIMA.*

Jeżeli czuje Pani stałe pieczenie skóry, wskazanem jest przerwać na 2—3 dni używanie wody i zastąpić ją płynem *ELOE - SAPOLO,* który w sposób łagodny usuwa czerwoność zdenerwowanej i zmęczonej skóry.

Pani Domu. Jeżeli Pani własnoręcznie prowadzi swoje gospodarstwo i chce zachować miękkość i jedwabistość dłoni— powinna Pani pamiętać o doskonałem wycieraniu rąk oraz stosowaniu, jak w ciągu dnia tak i na noc używanie wspaniałego kremu do rąk *ELOE-BONA.*

Krem Bona należy lekko wmasowywać rozpoczynając od palców rąk w ciągu 2—3 minut; krem doskonale natłuszcza skórę, wybiela ją, nie brudząc ubrania.

Pani A. K. Bielsk Podl. Dnia 8 marca został wysłany do Pani zamknięty list.

Nauczycielowi. Brodawki i kurzajki usuwają obecnie zapomocą spalania — t. zw. kaustyką.

Piegi może usunąć Pan sobie płynem *EFELI-LIQUOR.* Działa szybko i skutecznie.

Marychnie. Wśród preparatów kosmetycznych *ELOE - BORYSZEW* znajdzie Pani doskonały wytworny puder o miłym zapachu w kilku odcieniach.

Wszystkich informacji o preparatach kosmetycznych *ELOE-BORYSZEW* udziela:
Zarząd, W-wa, Mińska 25, tel. 561-20.

Zapytania o porady kosmetyczne kierować należy:
Salon kosmetyczny Zoja, Warszawa, Służewska 4.

„KĄCIK PRAKTYCZNY"

ŚLEDŹ

Nie wiem doprawdy, czemu śledź jest jakby symbolem postu i jego spożycie ma być specjalnem umartwieniem — kiedy właśnie śledź, dobry śledź lub nawet mniej dobry ale umiejętnie przyrządzony śledź jest rzeczą wyborną. Jest tyle smacznych a przeważnie nieskomplikowanych sposobów przyrządzania śledzi, że nawet w braku ryb można sobie dawać radę z jadłospisami postnemi — o ile się rozporządza dostateczną ilością śledzi i —pomysłowością w sprawach kulinarnych. Szczególniej po dworach wiejskich, gdzie na miejscu niema hodowli karpi lub karasków w stawie, w chwili, kiedy lód na rzekach i jeziorach rusza, bywają dnie, kiedy śledź jest jedyną rozporządzalną rybą. Zresztą w największem mieście a nawet stolicy kilka mniej znanych dań ze śledzi gospodyniom się też przyda.

Więc naprzód uwaga, że śledzia obranego ze skórki już się nie myje, gdyż tłuszcz go pokrywający jest jego najsmaczniejszą częścią składową. Śledzie należy moczyć tylko w zimnej wodzie. Jeżeli kładziemy śledzie w oliwę na dwadzieścia cztery godziny, co polepsza smak nawet gorszych gatunków śledzi, nie należy ich długo moczyć, gdyż oliwa też sól wyciąga.

Śledzie, jak sardynki. Białe, twardsze śledzie, dobrze wymoczone, oczyszczone, lecz z pozostawioną na nich skórką, po odrzuceniu łebków i ogonków pokrajać w taki sposób, aby z każdej połówki były cztery części, kształtu i rozmiaru sardynek. Utarzać je w mące i usmażyć na maśle lub szmalcu. Smażyć na bardzo małym ogniu, aby się nie rozpadł. Ostudzić na patelni. Ostrożnie zdejmować łopatką aby nie pokruszyć i kłaść wprost na salaterkę, w której będą podawane. Przełożyć pieprzem w ziarnkach, zielem, listkiem, nawet położyć parę goździków. Zalać obficie dobrą oliwą francuską lub palestyńską. Przycisnąć ciężarkiem. Trzymać 24 godziny na chłodzie przed podaniem.

Śledzie w muszelkach. Dwa śledzie białe, wymoczone i obrane z ości (skórkę pozostawić), pokrajane drobno, usmażyć w łyżce masła wraz z utartą na tarce cebulą. Wsypać łyżkę mąki i dwie łyżki śmietany, rozetrzeć doskonale i ostudzić. Dwa żółtka utrzeć dobrze, dodać do śledziowej masy, zmieszać z dwoma białkami ubitemi na sztywną pianę. Nałożyć do muszelek wysmarowanych masłem i wysypanych bułeczką, posypać tartą bułeczką. Zrumienić pod blachą. Podawać wprost z pieca z ćwiartkami cytryny.

Śledziówka. Dwa śledzie proste, wymoczone, obrane z ości (skórkę pozostawić) posiekać drobno. Dużą cebulę utartą na tarce usmażyć w dużej łyżce masła. Dodać śledzie, smażyć mięszając aż się zupełnie roztopią. Dosypać łyżkę mąki, zasmażyć razem. Trzy jaja całe rozbić dobrze ze szklanką kwaśnej śmietany, wlać do śledzi, zagotować razem. Gdy zgęstnieje, odrobinę popieprzyć i podać na salaterce do kartofli pieczonych, gotowanych w mundurkach, lub z wody.

Pani Elżbieta.

MODNE UCZESANIE

Pisma, zajmujące się zagadnieniami mody kobiecej, poruszają na swych łamach kwestje doboru futer, sukien, kapeluszy, pantofelków lub nawet pończoszek, lecz bardzo mało miejsca poświęcają „główce", t.j. jej uczesaniu.

A przecież odpowiednia fryzura, dostosowana do toalety, uwydatnia indywidualność, decydując o całości.

Tylko mistrz czesania może nieomylnie stworzyć fryzurę i zrobić ze swej klientki „bóstwo", wzbudzające podziw i zazdrość.

Do długiej obcisłej sukni z kloszem, rozpoczynającym się od kolan, ze śmiałym dekoltem, doradzi fryzurę z loczkami już od czubka głowy, aby loki stwarzały rodzaj pysznego grzebienia od ucha do ucha.

Do innych kreacyj kapryśnej mody, gdzie smukłą sylwetkę opływać będzie ciężki i kosztowny materjał w nieskończoność trenu, ułoży uczesanie gładkie, otoczone warkoczem o odcieniu ostrzejszym od koloru włosów naturalnych.

Wpinanie dziś tak modnych grzebieni, od ucha do ucha, lub umiejętne kolorowanie włosów posiada bardzo dużo zwolenniczek.

Kolorowanie imitujące dawniejsze peruki odbywa się przy pomocy różnobarwnego pudru francuskiego.

Mistrz Antoine upiększa panie, stosując pendant do koloru sukni lub koloru oczu. Kolorowe fryzury mają jednak swe prawo tylko na sali balowej.

Do sportu, samochodu, laboratorjum i do pracy wymagane jest uczesanie mniej skomplikowane, łatwiejsze, dostosowane do typu.

Przedział skośny z boku, lub uczesanie gładkie, lecz zawsze wszystko rysowane mocno ku tyłowi głowy, dekorowanie różnego rodzaju loczkami, które rozrzuca się po całym czole, mogą pod umiejętną dłonią fryzjera stworzyć doskonałe uzupełnienie danego typu urody.

Umiarkowanie pod każdym względem, a przedewszystkiem nie przeholowanie w zapuszczaniu włosów, których długość nie może przekraczać 10—15 ctm., jest kardynalnym warunkiem estetycznej fryzury.

Jerzy Jagodziński.



Najcięższy dług do spłacenia

Gdybyśmy mogli rzucić na ekran wszystkie uśmiechy i łzy ludzi, którzy wygrali na loterji — przekonalibyśmy się wówczas naocznie, że uśmiechów tych jest naprawdę bardzo wiele, natomiast w defiladzie tych wesołych twarzy gdzieniegdzie jednak widzimy smutek i łzy.

I czemu to — zapytacie, wszak ci szczęśliwcy wygrali, polepszyli sobie los, pozbyli się trosk materjalnych... Odpowiedź na to pytanie jest prosta i krótka: — płaczą, bo sami sobie są winni. A to najcięższy dług do spłacenia.

Wystarczy sięgnąć pamięcią niedaleko... choćby tylko do 27-ej loterji. Wszyscy pamiętamy, jak wielką sensacją była wówczas historja losu Nr. 133355, na który w V-tej klasie padła wygrana 300.000 złotych. Posiadaczem całego losu był niejaki p. Jakób Cemach, zamożny właściciel domu, który nie bacząc na koszta tak szybkiego inkasa — zrealizował natychmiast w kolekturze Wolanowa (stąd bowiem los pochodził) całą wygraną kwotę 240.000 zł. i opuścił zaraz Warszawę. W kilka godzin później sprawa się wyjaśniła. Okazało się bowiem, że szczęśliwy los należał do p. Herszenfussa, lokatora p. Cemacha, który lękając się grożącej mu eksmisji — oddał w długu swemu gospodarzowi — los, zastrzegając sobie prawo do 10% od każdej wygranej sumy.

Oczywiście niesumienny kamienicznik nie miał najmniejszego zamiaru uiścić się z danego dobrowolnie zobowiązania, czego najlepszym dowodem była pośpieszna ucieczka z miasta w niewiadomym kierunku. Był tam i sąd zwykły i sąd rabinacki, jednem słowem, wiele niemiłych, a zupełnie niepotrzebnych historyj.

A oto jeszcze jedna „tragedja", jaka zdarzyła się w IV klasie 28-ej loterji, kiedy to p. L. Kubica, wyjeżdżając do Zakopanego, nie wykupił w terminie losu Nr. 149.476 i później długo pertraktował z kolekturą o wygraną 250.000 zł. Na szczęście kolektura była tak lojalną, że nie skrzywdziła swego klijenta, aczkolwiek miała potemu wszelkie prawa.

W tej samej loterji i klasie rozpaczał pewien kupiec z Częstochowy, właściciel ćwiartki losu Nr. 40.875, na który padła wygrana miljona złotych. Otóż ten ćwierćmiljoner, będąc w przykrej sytuacji w podróży, zastawił swą ćwiartkę losu u niejakiego kupca Goldberga w Łodzi. Oczywiście ten ostatni, dowiedziawszy się o tak znacznej wygranej, dobrowolnie losu oddać nie chciał. Sprawa oparła się o sąd rabinacki.

31-a loterja również pozostawiła po sobie kilka łez, wylanych z własnej winy. 100.000 złotych, które padło w III-ej klasie — nie wszyscy właściciele mogli podjąć z uśmiechem zadowolenia. P. Szewczyk z Sambora długo procesował się z jedną z lwowskich kolektur o swoją ćwiartkę, niewykupioną w terminie.

A historja połowy szczęśliwego losu Nr. 171.385, którą nabyli p.p. Mokracki i Donica u kol. Rapaporta, już podczas ciągnienia IV-ej klasy tejże loterji. Do dzisiaj jeszcze niewiadomo, jak sprawa zostanie rozstrzygnięta i komu będzie przyznaną suma 40.000 zł.

Są to wszystko rzeczy minione, lecz zawsze aktualne. Zmieniają się bowiem nazwiska graczy, numery losów i wysokość wygranych, lecz treść pozostaje ta sama. Weźmy jeszcze dla przykładu ostatnie ciągnienie I-ej klasy 32-ej loterji. Główna wygrana tej klasy w wysokości 100.000 zł. padła na Nr. 161.896, którego ćwiartkę posiadał niejaki p. Arjel Taube, subjekt z owocarni p. Schwadrona we Lwowie.

Otóż zaledwie uszczęśliwiony okaziciel losu zainkasował wygrane 20.000 zł., wpłynęło do Generalnej Dyreckji Loterji Państwowej zastrzeżenie, uczynione przez jego szefa, p. Schwadrona, który utrzymuje, iż los był własnością spółki, a tylko został wykupiony przez subjekta i u niego przechowywany. I znów dochodzenia, sprawa sądowa, moc nieprzyjemności dla obu zainteresowanych stron, a wszystko z własnej jedynie winy. Ludzie bowiem mało poważnie, że tak powiem, odnoszą się do tej małej kartki papieru, która tak bardzo słusznie zwie się „losem". Zbyt obojętnie ją traktują: wszystko jedno kiedy wykupić, głupstwo, zawsze się zdąży; wszystko jedno kto wykupi, ten da temu, tamten tamtemu... a w rezultacie los znajduje się niewiadomo gdzie. Należy pamiętać jednak, że los loteryjny, to nie bezwartościowy świstek kolorowego papieru, ale weksel, na którym ręka przeznaczenia wpisuje wysokość sumy, żyrują — „ślepy traf" i „szczęśliwy przypadek", a spłaca go „Los" przez wielkie „L".

Od nas samych więc tylko zależy, aby śród długiego korowodu uśmiechniętych twarzy ludzi, wygrywających na loterji — nie było ani jednej smutnej i nieszczęśliwej.



CO NIOSĄ FALE RADJOWE?

TRANSMISJA ELIMINACYJNYCH KONCERTÓW KONKURSU IM. HENRYKA WIENIAWSKIEGO Piątek—20.05 oraz Sobota—20.00 i 23.05.

Ola Obarska i A. Wasiel piątek — 19.35.
Przyjaźń w okresie dojrzewania piątek — 17.00.
Smutna jest dola ma... sobota — 16.45.
Ida Łosiówna gra na klindze sobota — 22.15.
„Ptaki" Arystofanesa w „Teatrze Wyobraźni" niedziela — 13.00.
Muzyka w polskim domu niedziela — 18.00.
Wesoła fala — Siwemu Panu niedziela — 21.00.
„Jak dzieci winszowały Panu Marszałkowi w 1919 roku?" poniedziałek — 17.00.
Najpiękniejsze melodje z „Wesołej Wdówki" poniedziałek — 20.00.
Uroczysta audycja ku czci Pana Marszałka wtorek — 21.00.
Preludja polskich kompozytorów wtorek — 19.35.
Książka o Marszałku Piłsudskim środa — 17.50.
Reportaż z Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych czwartek — 17.00.
„Ostatni wirtuoz" w „Teatrze Wyobraźni" czwartek — 21.00.

NIS PETERSEN

SPOTKANIE NA ULICY

(początek na str. 2)

młoda dama tak olśniewającej urody, że nie przypominał sobie, ażeby kiedy oglądał takie cudo na oczy. Twarz jej promieniała szczególnie jasnym blaskiem, a oczy błyszczały bólem i oburzeniem. Gdy ujrzała małą, splamioną łzami twarzyczkę o iskrzących się czarnych paciorkach ocząt, gniew jej ustąpił miejsca blademu uśmiechowi. Ale oburzenie pozostało.

— Czy to prawda, że kradłeś, maleńki? — zapytała.

Jonek przytaknął skinieniem głowy i powstał. Kiełbaski krzyczały głośno o jego winie, jak niemi świadkowie, zwisając sznurem z otwartej na piersiach tuniki. Oczy dziewczyny zasnuły się mgłą bólu.

— A więc jesteś wstrętnym, małym złodziejem — powiedziała.

Zanim zdołał się obronić przed tym atakiem, piękna dzieweczka zwróciła się do Egriliusa i rzekła:

— Ale ty, Egriliusie! Cóż powie Rab Chanina, gdy dowie się, że utraciłeś łaskę bożą? Daj zaraz Egriliusowi pieniądze za kiełbaski — zwróciła się do dziewczyny, stojącej za nią — a ty — rzuciła raz jeszcze Egriliusowi — nie zapomnij żałować za grzechy, zanim będzie zapóźno.

Egrilius pochwycił fałd jej tuniki i jęczał:

— Ach, nie mów nic Rabowi Chaninie.

— Tak jakby grzech twój umniejszył się przez to, że został zatajony!—doszła go pełna siły odpowiedź, jakgdyby należało, by jego podwójny grzech potroić jeszcze.

Wzbraniający się gwałtownie Egrilius zgarnął jednak pieniążki, a dama, która liczyła sobie zaledwie 12 wiosen, wzięła Jonka za rączkę niezajętą pakowaniem kiełbasek do ust.

— Gdzież ty mieszkasz? — spytała młoda pani, a głos jej nie brzmiał tym razem ani smutnie ani gniewnie.

— Na ulicy Sandalników — odpowiedział Jonek, który zauważył, że lepiej jest, jeżeli mali chłopcy mają jakiś stały adres. Podawał więc zawsze ostatni swój adres.

— Na ulicy Sandalników — powtórzyła młoda pani, uradowana temi słowami. — A więc może znasz Raba Chaninę?

Jonek potrząsnął głową. Usta rozpychała mu kiełbaska.

— To dziwne — powiedziała dziewczyna. — Napiszę tobie jego miano i adres, chociaż ty pewnie nie umiesz czytać.

Jonek sarknął gniewnie, a dama zapytała się ze śmiechem:

— Co, rzeczywiście umiesz? Któż cię nauczył czytać?

— Mój Putyfar — odpowiedział chłopak.

Towarzyszka spojrzała nań zdumiona. Ale oto przyszła jej do głowy pewna myśl. Wyjęła ze swej sakiewki zwój, rozwinęła go i wskazawszy na jeden wiersz rzekła:

— A więc przeczytaj.

Jonek wydukał wolno ale bez żadnego przestanku:

— *„Venite ad me omnes qui fatigati estis"*—Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście strudzeni.

Dziewczyna przytaknęła na znak zgody:

— Czy wiesz, kto to powiedział?

— Jakiś święty albo coś w tym guście — odpowiedział.

Towarzyszka przytaknęła znowu ruchem głowy i zaczęła pisać na małej tabliczce:

— Doskonale. Opowiem ci to innym razem. Tu na tej tabliczce zapisałam mój adres. Czy zgadniesz, jakie jest moje nazwisko?

To doprawdy niemądre pytanie nie wywołało u Jonka najmniejszego zażenowania ni zakłopotania.

— Rhodope — wyjechał odrazu.

— Rhodope? Co przez to chcesz powiedzieć? — spytała zmieszana dziewczyna. — Dlaczego Rhodope?

— A ta z pantofelkiem — odpowiedział niecierpliwie.

— Doprawdy, zadziwiasz mnie, mój baranku, — rzekła dziewczyna. Powiedz mi, kim była ta Rhopode z pantofelkiem?

Jonek opowiedział zaraz całą historję. Słyszał ją od Pedaniusa, który znał wszelkie legendy, łączące się w jakikolwiek sposób, choćby najodleglejszy, z jego własnym szewskim zawodem. Krótko mówiąc, Rhodope była cudownie piękną egipską heterą, której pewnego dnia w czasie kąpieli zdarzył się osobliwy wypadek. Oto orzeł uniósł jeden z jej pantofelków. Ptakowi strzeliła do głowy zabawna myśl, aby pantofelek zanieść aż nad Memphis, gdzie upuścił go prosto na łono króla Psammeticha. Jego królewska mość zakochał się na umór w pantofelku i rozesłał gońców, aby przeszukali cały Egipt za ową pięknością. Poczem ladacznicę tę pojął za małżonkę, a nawet zbudował dla niej piramidę. Stąd powstała zabawna legenda, że Rhodope umiała wycisnąć tyle pieniędzy ze swojego kochanka, iż mogłaby zbudować piramidę z własnych oszczędności.

Jonek opowiedział tę milutką historyjkę w nieco dłuższych okresach i własnemi słowami, a dziewica słuchała tego z bladym uśmiechem. W rozmaitych zapomnianych kątach i tworach literatury znajdujemy od czasu do czasu przypowieści, które starają się wskazać, że istnieją kobiety zaprzeczające twierdzeniu, jakoby każda niewiasta dostępna była pochlebstwu. Nawet jednak ta młoda dama, która zdawała się być utkana z jakiejś niematerjalnej przędzy, nie była wolna od pokus pochlebstwa.

— A więc chcesz powiedzieć — ozwała się, żegnając się znakiem krzyża, — że jestem równie... że ja.... a więc, że jestem poprostu za ładna. Czy to chcesz powiedzieć?

Janek potwierdził trafność tej przenikliwej analizy, a dziewczyna spuściła w dół oczy. Osłonięci byli od naporu tłumu zagłębieniem korynckiej kolumny, tak że w jej cieniu mogła użyć oczu malca, jak zachwyconego zwierciadła.

— Przyjmę cię z radością, gdy zjawisz się u mnie — ciągnęła dalej — i nazwiesz mnie imieniem Rhodope. Zwę się jednakże Caecilją i mieszkam w willi przy Via Appia. Chyba mnie odwiedzisz, prawda?

Jonek, który był cały obolały od ostatniego lania, przyrzekł wizytę bez zbytniego entuzjazmu. Tak bardzo przywykł do czułości kobiet, że zupełnie go nie zmieszało, gdy Caecilja uśmiechając się rzekła:

— Uratowałam cię przecież od zbicia na kwaśne jabłko. Czy nie sądzisz, że zasługuję na małą nagrodę?

Zbliżyła się do niego w ten sposób, że nie wątpił, jakiego to rodzaju ma być owa nagroda. Mózg malca pracował z wściekłem natężeniem. I oto szczęśliwym przypadkiem przypomniał sobie amulet, który wisiał na jego szyi. Był to ten amulet, który położna i lekarz w jednej osobie: Turia, wzięła od jego matki zaraz po jego urodzeniu i zawiesiła na szyi noworodka. Jednakże po chwili namysłu wybrał drugi amulet, którym zaopatrzyła go na drogę żywota nieznana mu matka. Wyjął go i wręczył swojej obrończyni z taką miną, jakby regulował tem wszelkie rachunki i pretensje. Gdy dziewczyna przeczytała napis na amulecie, oczy jej zasnuła mgła.

„Si me amas" powtórzyła napis,— jeśli mnie kochasz.

Wzrok jej pobiegł za małym czarnowłosym obdartusem, który śmigał poprzez tłum osobliwym ruchem, okrążając spacerowiczów i prześlizgując się wśród ludzi. Była święcie przekonana, że malec dotrzyma obietnicy i zjawi się u niej. Jeżeli się tak nie stanie, to przeszuka całą ulicę Sandalników, aby go odnaleźć. Szukanie jednakże małego czarnowłosego łobuza w dzielnicy Argiletum podobne było do tropienia jakiegoś jednego wybranego wróbla na polu Marsowem.

— *„Si me amas"* — powtórzyła.

Poczem eskortowana przez swoją niewolnicę weszła do sklepu jubilera, przed którym właśnie stały.

ŚWIAT FILMU

„Świat idzie naprzód". Kino Rialto. Reżyserja John Ford. Film, który mógłby być — nienajgorszym zresztą — wzorkiem amerykańskiej roboty. Mały przegląd antologiczny motywów i sposobów przynajmniej z paru ostatnich lat. Specjalnie nas to nie bawi — ale i nie wywołuje protestu. Bądź co bądź możemy stwierdzić (tak jak przy kupowaniu mebli): robota pierwszorzędna, wykończenie solidne.

Motywem zasadniczym filmu jest: miłość poprzez pokolenia. A więc oglądamy, jak kochał się pradziad bohatera w prababce bohaterki — dzieje się to w jakiejś idylicznej, sielsko-anielskiej atmosferze; ludzie tańczą walca, noszą z wdziękiem fraki i krynoliny i wychodzą z sali balowej do mrocznego ogrodu, żeby porozmawiać, ewentualnie pocałować się. Oprócz nieporozumień miłosnych nie mają zdaje się większych zmartwień. Miłość kończy się zresztą smutnie, sentymentalnie, źle. Potem przeskakujemy o parę pokoleń i jeden wiek. Znów on i ona, ogromnie do tamtych podobni — prawnuki. Ludzie współcześni, zaplątani w dziejową zawieruchę, załatwiają kłopoty miłosne szybko — małżeństwem między jednym pobytem na froncie a drugim. Wydaje się, jakby naprawiali błąd sentymentalnych przodków — korzystając z ogólnego zamięszania. A przecież znowu jest źle. On prowadzi interesy rodziny — robi miljony na produkowaniu bawełny. Zajmuje go to więcej, niż ukochana żona. I znowu miłość ich zaczyna się wykolejać.

Zupełnie niespodziewanie historja tych dwojga kończy się akordem pacyfistycznym. „Dokąd świat idzie?" — sami codzień zadajemy sobie to pytanie. To samo pytanie nasuwają nam końcowe obrazki oglądane w filmie. Oto świat bardzo grzeczniutko idzie sobie szeregami w różnych częściach świata, przed różnemi osobistościami, pod różnemi sztandarami ale z jednakowemi akcesorjami: karabinami i z jednym i tym samym zamiarem: zabijać. Narazie tylko jeszcze nie wiadomo kogo. Ale o to mniejsza — nikt z nich nie wątpi, że zawsze się wkońcu ktoś znajdzie.

Tak samo pyta się swej małżonki bohater filmu przed pójściem spać. Wreszcie już w łóżku stwierdza, że nie wie i pozatem stwierdza, że jedyną nieprzemijającą wartością jest — MIŁOŚĆ.

Wielka wojna, oglądana po raz niewiadomo który — niczem się nie różniła od innych „wielkich wojen" z filmów amerykańskich. Jest już na to szablonik. Niemniej w granicach szablonu do oglądania zupełnie się nadawała. Franchot Tone inteligentnie, z pełnym wdzięku właściwym temu aktorowi, spokojem zagrał obydwie role: młodego człowieka z roku 1855 i współczesnego. Partnerką jego była Madelaine Carrol.

Zam.

„ŚWIAT" Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel Adm. 504-00.

WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.

KONTO P. K. O. 3.755

NASZE KUPONY TEATRALNE

OPERA, Teatr Wielki

KUPON № 19

ze zniżką 30%

Ważny od 15/III do 21/III r. b. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **30%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Teatr „ATENEUM"

KUPON № 19

ze zniżką 50%

Ważny od 15/III do 21/III r. b. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **50%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Teatr KAMERALNY

KUPON № 19

ze zniżką 50%

Ważny od 15/III do 21/III r. b. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **50%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa